

Maurycy Dekobra

Serenada śmierci

Rozdział 1

Głęboka cisza panuje w oddziale skazanych na śmierć. Jest to w Stambule niby jakiś grobowiec na wpół umarłych; rozległy czworobok, którego białawe mury wznoszą się nie opodal Bosforu, a wąskie korytarze zdają się być dziełem olbrzymich termitów.

Podczas gdy Konstantynopol drży jeszcze po niedawnych rozruchach, więzienie spogląda obojętnie na próżne szamotania rewolucjonistów. Niewzruszone, wchłania w siebie coraz to nowych kandydatów do nicości; nie zna ich cierpień i trwóg, nie wzrusza się nimi. Bo cóż obchodzić może tę szarą masę murów, że jakieś uszy chwytają z natężeniem dalekie, głuche szmery; że rozszerzone źrenice ślą ku zaryglowanym drzwiom nieprzytomne, pełne widziadeł spojrzenia; że jakiś człowiek jęczy w gehennie straszliwych koszmarów, a inny krąży po celi jak czający się zwierz, gotów w każdej chwili wydrzeć się z potrzasku.

Więzienie drwi sobie z dzielnych i z tchórzy, równi są dlań buntujący się i zrezygnowani. Obcy mu są ci wszyscy, których wieszać będą nazajutrz o świcie, którzy słyszą już, jak Śmierć trzaska w kościste palce wśród ciemnych korytarzy. Więzienie - macocha o kamiennym sercu - żywi swe dzieci po to, by je potem wydać w ręce kata.

Godzina pierwsza po północy. Przed ciężką, spuszczoną w dół kratą stoi na warcie żołnierz turecki, prawy muzułmanin, przywykły poddawać się woli Przeznaczenia. Zaś po drugiej stronie żelaznych sztab dwóch strażników więziennych przechadza się tam i z powrotem wzdłuż korytarza, rzucając szybkie spojrzenia w otwarte judasze drzwi. Osman i Mehmed usiłują odpędzić nudę pogawędką.

- Powieszają jeszcze z pięćdziesięciu i koniec z rewolucjonistami - mówi Osman.

- Ile egzekucji dziś rano?

- Zanotowane mam cztery: Abeddin bej, Herzen, Jussuf Georgijczyk i Ibrahim bej.

- Ibrahim bej, ten izolowany z piątki? Byłeś na jego procesie?

- A jakże. Miałem służbę w Trybunale Niezależnym w czasie rozprawy przy drzwiach zamkniętych. Aresztowano go w pałacu Dolma Bagcze, szóstego maja w nocy, wraz z czterema prowokatorami, którzy przyплыnęli ze Smyrny na statku towarowym z ładunkiem kukurydzy. Prokurator wymienia w oskarżeniu nazwisko jakiejś kobiety. Powiadają, że przeszła granicę bułgarską na kilka godzin zanim rozkaz aresztowania jej doszedł do rąk komisarza policji. Nie jestem pewien, czy to Ibrahim bej własną ręką zabił Dżemila Ali beja w awanturze z 30 kwietnia, ale to pewne, że wyrok śmierci słusznie mu się należał. A nawet dziwię się, że nie skończyli z nim w zeszły wtorek, razem z czterema smyrneńskimi bandytami.

- Egipski szlachcic, mój stary! To warte specjalnego wózka, jedwabnego stryczka i szubienicy z orzechowego drzewa!

- Rozmawiałem przedwczoraj z jego adwokatem. Wiesz, że ten Egipcjanin to mieszaniec?

- Jak to mieszaniec?

- Ano tak. Syn jakiejś paryżanki, która poślubiła słynnego w Kairze paszę.

- A zatem Wschód i Zachód czasem się jednak spotykają.

- O tak. Zwłaszcza na kanapach.

Krótki rozkaz zabrzmiał w głębi korytarza i przerwał rozmowę. Odzwierny podbiegł do kraty i z głębokim ukłonem wpuścił potężnej tuszy osobistość, której olbrzymi cień ruszył groźnie naprzód po bielonej wapnem ścianie. Grubas zbliżył się do obu strażników.

- Uwaga! - mruknął Mehmed. - Dyrektor... Pewnie coś nowego.

Obaj podwładni, wyciągnięci na baczność, znieruchomieli w świetle lamp. ..

- Słuchajcie dobrze, jeden i drugi. Skazany Ibrahim bej zostanie wywieziony samochodem o godzinie trzeciej rano i rozstrzelany o wschodzie słońca na szanćcach Jedi Kule.

- Rozstrzelany, ekscelencjo?

- Tak. Poseł turecki w Kairze przysłał prośbę rządu egipskiego o ułaskawienie. Ponieważ ułaskawić go nie można, postanowiono go rozstrzelać zamiast wieszać z innymi. W związku z tym posłałem po jego adwokata. Przyjdzie tu zaraz. Wpuśćcie mecenasa do celi skazańca i nie będziecie przeszkadzać w rozmowie.

- Rozkaz, ekscelencjo.

- Widzieliście już tego adwokata? Poznacie go?

- Tak, ekscelencjo.

- Skazanego wyprowadzi się o trzeciej. Zresztą sam będę nad tym czuwał. Tymczasem niech tam który wejdzie do celi i dotrzymuje mu towarzystwa do przyjścia adwokata. Temu więźniowi należą się pewne względy. Abeddin bej, Herzen i Jussuf zostaną powieszani o wpół do piątej. Nakazuję wzmożoną czujność. Zrozumiano?

- Rozkaz, ekscelencjo!

Dwaj strażnicy skłonili się. Dyrektor odszedł w towarzystwie swego cienia rysującego się niewyraźnie na białym murze. Krata za jego plecami opadła w dół.

- He? Nie mówiłem? - Osman spojrzął na towarzysza. - Patyczkują się z tym Egipcjaninem.

- Rozstrzelanie zamiast powieszenia? Ty to nazywasz łaską?

- Pewnie. Bądź co bądź...

- Karabin, elektryczność czy stryczek - wszystko, mój stary, prowadzi na tamten Świat z równym skutkiem. Mniejsza o elegancję. Myślę, że Ibrahim bej najchętniej by

widział dobry areoplan, żeby nim polecieć ku tym ich zachodnim stolicom. W żaden sposób nie pojmuję, jakim cudem człowiek z jego sfery wziął się wśród tych szalonych powstańców. Widziałbym go raczej w Pera Palace, razem z dwustu cudzoziemcami - turystami, którzy tam wyczekiwali końca rozruchów, stłoczeni ze strachu w piwnicach.

- Mówiłem ci, że tu tkwi kobieta...

- A tak... i to chytra; umiała zniknąć w samą porę.

Ibrahim bej śpi. Mimo niepokojów ostatnich nocy, mimo tragicznych momentów, których pełne były ostatnie trzy tygodnie od czasu aresztowania, stawienia przed Trybunałem i wysłuchania wyroku skazującego go za morderstwo i zdradę stanu na karę śmierci - twarz jego nie nosi śladów wewnętrznej męki.

A jednak, któżby rozpoznał na tym ohydny barłogu, pod tym ośmiodniowym zarostem jedyne go syna Ibrahima Paszy, pięknego Egipcjanina, który tak niedawno przesuwiał niedbale paciorki różańca zwycięstw - pomiędzy Winter Palace w Luksorze a salonami Berkeley Square?

Świetny gracz w polo z kairskiej wyspy Gezireh, czarujący uwodziciel pięknych cór Zachodu, które oglądały swój upadek w zwierciadłach jego czarnych źrenic - jest dziś wynędzniałym, brudnym aresztantem w tureckim więzieniu. Więźniem, którego godziny, ściśle są przez skąpy los wyliczone..

Dozorca przystanął przy śpiącym. Przez kilka sekund przyglądał się Ibrahimowi w milczeniu. Nie obudził go zgrzyt otwieranych drzwi. A jednak trzeba go wyrwać z dobroczynnej władzy snu, który na chwilę pozwolił mu zapomnieć o ohydnej rzeczywistości. Dozorca pochyła się:

- To ja...

Skazaniec unosi się raptownie na posłaniu.

- Dzień dobry, Mehmed. Przychodziecie zabrać mnie za ceremonię?

- Ależ nie... Nie... Ma pan czas jeszcze. Przychodzę panu dotrzymywać towarzystwa z rozkazu Jego Ekscelencji dyrektora więzienia.

- Jego Ekscelencja bardzo dla mnie łaskaw.

- Co mógłbym dla pana zrobić?

- Mówić jak najmniej.

- Dobrze.

Przez kilka minut przerażająca cisza panuje w sześcianie z szarych gładów, gdzie klepsydra losu sączy ostatnie swe ziarnka. Nagle Ibrahim bej przerywa milczenie:

- Powiedźcie, Mehmed... Zdaje się, że nie jesteście zupełnie niepiśmienny.

- O nie, znam nawet dobrze historię mojego kraju.

- I nie jesteście kamieniem, niedostępnym ludzkim uczuciom?

- Nie sędzę.

- Słyszeliście pewnie, Mehmed, że życzenia skazanych na śmierć winny być wysłuchane?

- No tak. W pewnych granicach.

- Możecie mi dać ołówek i kawałek papieru?

Mehmed waha się chwilę. Wreszcie wyciąga z bluzy notes i ołówek.

- Będzie pan pisał ostatnią wolę?

- Nie... List do kobiety. Czy możecie mi przyrzec, że kiedy się wszystko uspokoi i poczty zaczną działać normalnie, wyślecie ten list?

- To jest sprzeczne z regulaminem. Ale przyrzekam. A czy w zamian za tę małą przysługę wolno mi zadać panu jedno pytanie?

- Pytaj.

- Zdaje mi się, że nazwisko damy, do której pan pisze, słyszałem w czasie przesłuchań. Marewa Schomberg...

- Tak.

- A jeżeli ona też jest aresztowana i skazana na śmierć, to co?

- Adwokat powiedziałby mi o tym. - Na twarzy Ibrahima beja widać nagły niepokój.

- Niech się pan uspokoi... Pani Schomberg przedostała się przez granicę bułgarską, zanim policja otrzymała rozkaz aresztowania jej. Wiem to od komendanta placu.

Ibrahim Pasza, bawełniany król z Górnego Egiptu, poślubił w Cannes, w 1890 roku, piękną pannę Rozynę Mareschal, absolwentkę konserwatorium, która po pięciu latach Teatru Narodowego „Odeon” wołała wody Nilu, aniżeli światła rampy.

- Rozyno najmilsza - zapewniał pasza - jeżeli dasz mi syna, uczynimy z niego ideał zachodniego dżentelmena.

I oto pani Ibrahim pasza, z domu Rozyna Mareschal, szczęśliwa, że może pożegnać dawną pokojówkę i spalić na stosie wszystkie role, bukiety i trofea teatralne, postarała się uczynić zadość pragnieniom małżonka. Dnia 6 kwietnia 1891, w miesiącu ramadan, w pałacu na wyspie Roda narodził się syn.

Dziecko rosło i rozwijało się niby piękne rośliny Deltę, zwilżane mułem świętej rzeki. W dwunastym roku życia okładało z siłą młodego atlety przydzielonych mu nubijskich służących. Ojciec patrzył z zachwytem, jak odprowadzano do szpitala ofiary jego spadkobiercy.

- Zaprawdę - mówił z dumą do żony - krew Ptolomeusza płynie w jego żyłach. Przypomina mi to dziecko Tutmozisa I, który, mając siedem lat, kazał oblać wrzącą wodą piersi swej mamki.

Świadomość, że dała życie takiemu katu w krótkich spodenkach, napępiała eks - gwiazdę przerażeniem.

Wówczas pasza dorzucił:

- To dziecko wschodnią ma duszę, nie zrezygnuje jednak ze swoich dawnych planów.

Nasz mały diablik stanie się kiedyś prawdziwym dżentelmenem. Za miesiąc mój intendent zabierze go do Eton, do Anglii. Tam się będzie uczył, nie na naszym uniwersytecie w El - Azar.

Przez pięć lat młody Ibrahim łykał wszelkie mądrości w Eton i Cambridge. Uczono go, że naród brytyjski jest jedyną nacją cywilizowaną, imperium brytyjskie - najszlachetniejszym wcieleniem woli zbiorowej, Francja zaś - największą kokietką w Europie. Wykładano mu, że Bóg jest rodowitym Anglikiem, ponieważ, stworzywszy świat w dni sześć, nie zapomniał o weekendach. Dano mu pierwszorzędną wychowanie sportowe oraz, że sparafrazuję Stendhala, przekonano go, że na Anglosasie grającym w football opadły liść i upadłe państwo jednakże wywierają wrażenie.

Na nieszczęście ten system nauczania nie zadawałał Ibrahima, który odziedziczył był po matce Francuzce wrodzony pociąg do analizy, umiłowanie systematycznego myślenia i jasności mowy. Wiadomo, że prawdy brytyjskie muszą być połykane jak pigułki. Kto się pokusi o ich rozgryzienie - musi je wypluć. Toteż Ibrahim wypluwał stopniowo i kawałkami Stuarta Milla, Spencera, Carlyle'a i Macaulaya.

Gdy miał lat siedemnaście, intendent paszy spakował walizy młodzieńca i wywiózł go do Paryża. I Ibrahim studiował. Francuski był - obok arabskiego - jego językiem ojczystym, toteż słuchał dość pilnie wykładów w Sorbonie. Aż raz, pewnego wieczoru, kiedy silił się zrozumieć Kanta, cisnął na stół zeszyty, albowiem przyszło mu na myśl, że przecież

jego papa nie na darmo reprezentuje trzecią część egipskiej bawełny. „Gwiżdżę na imperatyw kategoriowy i na tego całego mandaryna z Królewca”. Intendent, powiadomiony o fakcie przez czarnego służącego, puścił się w pogoń za swym młodym paszą, i odnalazł go w towarzystwie niewieścim u Bobette'a. Podczas gdy jakiś stały bywalec owego baru na placu Blanche deklamował potężnym głosem Eros Vanne Maurycego Donnaya, opiekun dyskretnie zrugął zbiega, ukrytego za kubłem od szampana i sukienką towarzyszkę, stropioną tym, że taki poważny klient jej się wymyka.

Rozmawiali przy niej po angielsku.

- Dość mam tej waszej Francji - oświadczył Ibrahim. - W Anglii przynajmniej sporty stanowią jakiś upust... Kiedy się człowiek kładzie po czterech godzinach krykieta i dwóch godzinach tenisa, nie ma przynajmniej mrówek w tych tam organach... A tu? Cóż ja tu mogę wyładować?

- Pięć tysięcy franków miesięcznie, proszę pana.

- Mówię o siłach fizycznych... Nic. A pokusa czyha na każdym rogu. Tam wystarczyły mi małe różowe gąski z Trinity Bali i drobne flirciki w ogrodzie Cherryington. Tutaj rozpusta tropi cię od zachodu słońca niczym rozżarta tygrysica w dżungli...

Ciemnoskóry mentor wyprowadził swego dość skwaszonego Telemaka z baru, a już nazajutrz telegrafował do paszy: „Ibrahim objawia męskie pragnienia. Proszę uniżenie o dyrektywy i budżet”.

W dwa dni po przeprawie z wychowawcą otrzymał odpowiedź: „Zwróć się pani Collombin. Wybraną partnerkę zbadać. Profesor Manigaut. Instytut Pasteura. Kredyt nieograniczony. Szczegółowy raport post factum. W razie wątpliwości wypróbować przed Ibrahimem”.

Intendent paszy był sługą sumiennym. Natychmiast złożył wizytę pani Collombin, która przyjmowała wszelkie

zamówienia i zaspokajała potrzeby wysokich urzędników z pałacu kedywa. Kiedy jej powiedziano, że chodzi o wprowadzenie w świat syna paszy, omal nie zemdlą z radości.

- Ach! Panie! Ile wspomnień! Jego zacnemu ojczulkowi ofiarowałam wszystkie najcenniejsze klejnoty z mojej kolekcji! Ach! Co za spustoszenie tu czynił! Jeżeli syn wdał się w niego, w ciągu trzech tygodni da sobie radę z moim kurniczkiem. Siedemnaście lat, mówi pan?...Zaraz, niech no pomyślę.

Szcześliwą wybranką została hrabina de Talabar. Ibrahimowi wydała się zachwycająca. Po długiej wymianie depesz z Kairem pasza przesłał ostateczną decyzję: „Hrabinę przydzielić Ibrahimowi. Podpisać kontrakt. 500 funtów miesięcznie”.

Taki był debiut młodego Egipcjanina w krainie miłości. Po ośmiu miesiącach pożycia z hrabiną studencik z Cambridge doszedł do perfekcji, jaką błyszczeli ongiś wszyscy jego przodkowie po mieczu. Studia poszły w zapomnienie. W dwudziestym roku życia Ibrahim reprezentował swego znakomitego ojca na francuskim rynku bawełnianym, a ściślej mówiąc, złożył ten ciężar na barki swego plenipotenty. Sam tymczasem dążył, stosownie do życzeń ojca, do ucieleśnienia sobą ideału zachodniego dżentelmena, jednego z owych międzynarodowych światowców bez zarzutu, jacy wypełniają wszystkie europejskie Jockey Clubs, lekko przegrywają majątki w bakarata, którzy przejeżdżają chłopów na koszt Towarzystw Ubezpieczeniowych, strzelają do glinianych gołąbków i odnoszą zwycięstwa na kanapach w stylu Dyrektoriatu, którzy płacą długi karciane w ciągu dwudziestu czterech godzin, a rachunki krawca w roku przestępnym. Jednym słowem - wszedł w szeregi tych pionierów współpracy między-

narodowej, którzy tworzą Ligę Narodów w barach, gdzie europejski kosmopolityczny żargon zakrapia się szkocką whisky, oraz realizują w pidżamach wzajemne przenikanie się ras.

W roku 1914, w chwili wybuchu wojny, Ibrahim miał lat dwadzieścia trzy. Niewiele przyczynił się do rozkwitu przemysłu bawełnianego, natomiast olśnił Biarritz i Karlsbad wykwentem swych garniturów i świetnymi markami samochodów. O tym uroczym Egipcjaninie o profilu równie czystym, jak na płaskorzeźbach z Madinet Habu, tym paryżaninie z Kairu o ujmującym zachowaniu, czarującym głosem i o wspaniałomyślnych gestach, mówiono w Londynie, że jest The darling of the Gods - ukochaniem bogów. Można by dorzucić: i bogiń, bowiem Olimpijki z Parku Lane ubiegały się tłumnie o względy tego Parysa, którego krawaty - istne dzieła sztuki - nosiły podpis najsłynniejszej firmy z Burlington Arcades.

A potem wybuchła wojna. Święto Śmierci... Zniewaga, rzucona Logice przez pięćset milionów cywilizowanych ludzi. Podczas gdy Świeżo zmobilizowane szeregi wykrzykiwały na polach walki bluźnierstwa przeciw Prawdzie, Ibrahim rozjątrzał u Ritza Szwajcarów, Argentyńczyków i Jankesów, mówiąc im:

- Widzicie teraz dobrodziejstwa waszej demokracji. Dawniej, za rządów absolutystycznych, spory między królami likwidowało się przy pomocy pięćdziesięciu tysięcy najemników, którym płacono za to, że dali się wyrzynać. Dzisiaj spory między państwami są sporami uświadomionych ludów - i oto piętnaście milionów obywateli pędzi ku granicom z karabinem w rękę... Oto prawdziwy postęp! Demokracja wrzeszczy: „Precz z wojną!” - a kiedy ją robi, miażdży więcej ludzi w ciągu jednego dnia niż Tamerlan przez całe życie.

Mimo to jednak Ibrahim zaciągnął się do lotnictwa.

- Zdechnąć mogę, ale nie w błocie - mówił sobie.

Przez dwa lata tłuł w nieprzyjacielskie maszyny, flirtował z „chrzestnymi matkami” i zdobywał wstążeczki z palemkami. A wojna trwała. Ci, którzy ją aranżowali przy zielonym suknie, odsuwali od siebie ze zgrozą białe widmo pokoju.

Wreszcie wojna się skończyła. Verdun wiele przyniosło ofiar. Pokój miał również swoich dorobkiewiczów wojennych. Po tym olbrzymim konflikcie, po tej wiekopomnej manifestacji inteligencji rasy białej, zdawać by się mogło, że nareszcie zapanuje harmonia wśród bębnow znużonych odgłosami armat. Ale wówczas pojawił się jazz... A przy dźwiękach jazzu monety zawirowały szalony tan.

Ibrahim, wraz z dwudziestoma milionami innych, porzucił mundur khaki i został znów wcielony w szeregi światowców. Nowa mobilizacja. Nie krzyczano już: A Berlin! Nach Paris!..., ale nawoływano radośnie: Na Cyterę! Zum Venusberg!... Wczorajsi wojacy usiłowali jak najprędzej, jak najzupełniej zapomnieć o okropnościach ostatnich czterech lat. Co to za rozkosz włożyć znów marynarkę, powrócić do niewiernych żon, jakie to szczęście odnaleźć ognisko zagasłe albo miejsce przy nim zajęte przez innego.

Minęło dziesięć lat. Dziesięć lat ulubieńca losu. Z syna paszy Ibrahim stał się bejem dzięki węzłom przyjaźni łączącym jego ojca z dworem J.K.M. króla Fuada I. Matka wyrzucała mu, że się nie żeni.

- Kochana mamó - odpowiadał wówczas - dwadzieścia lat w Europie oduczyło mnie rezygnacji, cnoty muzułmańskiej. A bez niej nie mogę być dobrym mężem.

I na cóż by mu była kobieta? Nie szukał ich - to one go szukały. Nie wołał ich. One same spadały jak skowronki przed

świecącymi reflektorami jego wspaniałej ośmiocylindrowej maszyny.

Pewnego dnia, kiedy mknął szeroką, gładką szosą z Berlina do Poczdamu, zawołała nań jakaś nieznajoma w cytrynowo - rubinowym swetrze. Odrzuciwszy swój biały kapelusz na wachlarz maszyny, majstrowała coś przy motorze drobnymi paluszkami zdobnymi w piętnastokaratową gwiazdę. Żywo zabrał się do pracy. Rozebrał karburator, wyczyścił z piasku, zmontował i puścił motor. Dama w swetrze podziękowała krótko i odrzuciła propozycję jazdy do Golf Clubu w Wannsee. Ibrahim nie dał za wygraną. Po niedługim czasie pili herbatę w klubie. Pani w cytrynowo - rubinowym swetrze była żoną doktora Schomberga, psychiatry, samotnika mieszkającego w czeskim zamku „Orlik”.

- Mam nadzieję, że zobaczę panią jutro... Gdzie? - zapytał Ibrahim całując jej dłoń na pożegnanie.

Dama w cytrynowo - rubinowym swetrze odwróciła się od progu i rzekła uprzejmie, ale dość wyniośle:

- Gdzie? W mojej sypialni, drogi panie.

Adwokat usiadł przy więźniu. Dozorca dyskretnie zamknął za sobą drzwi celi.

- Dziękuję, że przyszedł pan dotrzymać mi towarzystwa przed wyruszeniem na Wyspę Śmierci... Czy pan uwierzy, że ciągle teraz mam przed oczami obraz Arnolda Bocklina, którego reprodukcja wisiała w moim studio w 1913 roku...

- Ibrahimie - przerwał mu adwokat - niechże się pan nie upija własnymi słowami. Ze mną nie trzeba tej maski... wiem przecież, że jest pan odważny. Dał pan zresztą dowody na to w czasie wojny; ale pomiędzy śmiercią dobrowolną, w obliczu wroga, a egzekucją - istnieje...

- Ten sam skok w nicość, mój drogi. Tym razem nieprzyjacielem nie jest pocisk gazowy... Teraz to miłość, oto wszystko.

- O tym pomówimy później, Ibrahimie. Przyszedłem tutaj nie po to, żeby dotrzymać panu towarzystwa, lecz by wnieść trochę nadziei w pańskie ciemności... nadziei względnej, to prawda. Ale zawsze i to jest coś, ponieważ nic nie może być gorszego od obecnej sytuacji.

Niejasne słowa adwokata przyprawiają Ibrahima o silniejsze bicie serca. Jakkolwiek usiłuje udać zupełne oderwanie od świata, sam dźwięk słowa „nadzieja” sprawia, że lżej mu oddychać w śmiertelnej atmosferze celi.

- Myśli pan o rewizji procesu? - pyta dość spokojnie.

- Niestety, nie. Wie pan o tym, że wobec stanu wojennego i obciążających okoliczności . wyrok jest bezapelacyjny... Mam panu powiedzieć coś nowego, niesłychanego, coś tak nieoczekiwanego, że zaledwie sam potrafię w to uwierzyć... Trudno mi o tym mówić.

- Proszę, nic mnie już nie załamie.

- Ktoś, czyje nazwisko przysiągłem zachować w tajemnicy - wiąże mnie honor i tajemnica zawodowa - zainteresował się pańskim losem. Nie... Niech pan nie zadaje żadnych pytań... Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że ten człowiek postarał się wydrzeć pana szubienicy. Ale stawia warunek straszliwy... Nie chcę pana dręczyć niepotrzebnie, powiem panu prawdę z całą brutalnością. Musi pan zobowiązać się, że się pan zabije w przeciągu roku - Jednym słowem dostaje pan w podarunku dwanaście miesięcy życia.

- Ależ to szaleństwo! Za trzy godziny będę stracony.

- Tak, Jeżeli odrzuci pan układ. Nie, jeżeli pan przyjmie... Niech pan posłucha: Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów można wiele zrobić, zwłaszcza w kraju, gdzie jest rewolucja. Dyrektor więzienia jest nie do przekupienia. Szczęśliwym

zbiegiem okoliczności jest teraz, przez miesiąc, dyrektor tymczasowy, zastępca... Ja sam załatwiłem sprawę i mam wszelkie dane, że się uda. Dyrektor uprzedził dozorców, że o trzeciej będzie pan wywieziony samochodem i rozstrzelany na szanćach Jedi Kule. Samochód zawiezie nas wszystkich trzech na drogę ku San Stefano. Pomiedzy Makei Keni a przylądkiem San Stefano będzie na nas czekała szalupa z jachtu pańskiego zbawcy. Dobijamy do pokładu, odpływamy natychmiast - a potem - pełne morze, zbawcza jutrzeńka - zmora zniknie na zawsze... Przyjmuje pan warunki?

- Jakżeż odmówić? Żywy fellach więcej wart, niż zmarły pasza...

- Doskonale. Ale ustne przyrzeczenie nie wystarczy. Trzeba je napisać i podpisać przy mnie.

- Podpisać co?

Adwokat wyciąga z teki czysty arkusz, pióro i podaje je Ibrahimowi.

- Proszę pisać: Ja niżej podpisany Ibrahim bej, zdrowy na ciele i umyśle, oświadczam, że odbieram sobie życie dobrowolnie. Zaraz, zaraz... Dziś mamy piąty czerwca 1928. Zatem proszę wpisać datę 5.06.1929... Przyczyny samobójstwa dotyczą tylko i wyłącznie mnie, zabieram je do grobu... Teraz proszę podpisać.

Ibrahim oderwał pióro od papieru. Patrzy na ten arkusz, warunek dwunastu miesięcy istnienia, uprzejmie podarowanych przez nieznaną dłoń. Jakiż wspaniały podarunek dla człowieka, którego głowa dotyka już niemal belki szubienicy. A zarazem jakaż okrutna trucizna. Życie ludzkie jest równaniem o jednej niewiadomej. Tą niewiadomą jest data śmierci. Bez niej, bez tej jedynej tajemnicy, czymże byłaby cała ludzka matematyka, cała ta skomplikowana trygonometria uczuć?

Żyć, pracować, walczyć, cierpieć, kochać bez nadziei - wiedząc z pewnością, że kurtyna zapadnie nieodwołalnie za sześć tygodni, sześć miesięcy czy sześć lat? Nędzna farsa!...

Ibrahim bej jeszcze raz przebiega oczyma swój „akt samobójstwa”. Gdyby to nie było takie tragiczne, byłoby bardzo zabawne.

- Trzeba podpisać, Ibrahimie. Albo pozwolić, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Niech się pan spieszy, czas nie czeka.

Zgrzyt zamka. Dyrektor wchodzi sam, zamyka drzwi, zasuwą judasz.

- Już? - pyta szeptem adwokata.

- Tak, ekscelencjo.

' - Dozorcy nałożą mu kajdanki, żeby nie budzić podejrzeń. Niech nie protestuje...

Naczelny dozorca jest na podwórzu. Białawy sześcian, którego sufit stanowi gwiezdna noc. Dyrektor pokazuje opieczętowany papier. Ciężka krata podnosi się ze zgrzytem. Otwarte auto wojskowe czeka za bramą. Dwóch żołnierzy zasiada na przedzie. Ibrahim bej wciśnięty pomiędzy dyrektora a adwokata. Szofer wtajemniczony (500 dolarów i fałszywy paszport perski) daje gazu i rusza ostentacyjnie w kierunku zamku Jedi Kule, kamiennego pięcioboku, który tylekroć był teatrem ponurych tragedii polityki otomańskiej... Jedi Kule! Zamek tragiczny, gdzie stracono siedmiu sułtanów, zamek, którego bramy wielokroć zdobiły krwawe głowy świętych wezyrów, którego Krwawa Studnia nie mogła czasem pomieścić stosu trupów. Obrazy, wywołujące dreszcz.

Samochód wstrząsa się i podskakuje na nierównych brukach uśpionego Stambułu. Okrąża cudny meczet Ahmeda przy Końskim Rynku, ten, który zawiera kawałek czarnego kamienia z Kaaby; potem zapuszcza się w labirynt Kum Kapu, nierówny, wyboisty teren, pełen na wpół rozwalonych

domków i popalonych ruin. Trzeszcząc i sapiąc, z trudem przebijają się przez tę nędzną dzielnicę przyciśniętą z prawej strony do Wielkiego Bazaru i dawnej dzielnicy janczarskiej, z lewej do adrianopolskiej linii kolejowej i wybrzeża Morza Marmara.

Na rozkaz dyrektora więzienia samochód zatrzymuje się przed Złotą Bramą. Żołnierze i szofer mają zostać z autem wewnątrz dziedzińca i czekać dalszych rozkazów. Adwokat odwraca się do Ibrahima beja i szepcze, podczas gdy dyrektor otwiera kajdanki:

- Droga wolna... Teraz tylko przebyć jak najprędzej te sześć kilometrów, które nam zostały.

I trzech ludzie ruszają szybkim krokiem po pustej, ciemnej drodze. Po godzinie są już na plaży. Z daleka widać białawe widmo statku zakotwiczonego koło Wysp Książęcych. Naraz z cienia wyłania się marynarz w żółtej kapocie i berecie ze złotym napisem: „S. S. Andromeda R.Y.C.”.

- Z rozkazu komendanta - oznajmia. - Trzeba się spieszyć.

Trzej ludzie wskakują do czółna. Motor warczy głucho. Szybko tną fale. Ibrahim bej ma wrażenie, że śni. Pełną piersią wdycha wiatr morski i upija się nim silniej, niż kiedykolwiek najznakomitszym sherry.

Biały kadłub jachtu powiększa się coraz bardziej. Ani jednego światła na pokładzie. Dobijają do statku i wskakują na schodki. W tej samej chwili ostry gwizd daje rozkaz wyruszenia. Szybko wciągają czółno. Śruby zgrzytają. Ciągają się w górę łańcuchy. W półmroku pokładu pojawia się steward. Odprowadza każdego z przybyłych do jego kabiny. Ibrahim bej wchodzi do swojej. Domek lalek z mahoniem i miedzi.

Drżenie turbiny wzmagają się. Jacht mruży jak wielki owad rozpędzający się do lotu. Ibrahim bej otwiera okienko i wychyla się. W górze gwiazdy zaczynają gasnąć, niepotrzebne już, ukorzone przed jasną wspaniałością słońca. W głębi

Bosforu wzmaga się blask. Rozpłomienia się cały Wschód. Coraz bardziej rozszerza się jasna plama na popielatym aksamicie nocy. Wreszcie ponad Bosforem, łącząc oba brzegi, wstaje różowa wstęga, jaśniejsza, coraz jaśniejsza...

Ibrahim wchłania w siebie ten widok czarodziejski. Oto stały się rzeczywistością najbardziej chimeryczne nadzieje. Jest wolny... Żywy...

Nagle uchylają się drzwi sąsiedniej kabiny. Ibrahim bej odwraca się. W drzwiach stoi adwokat; Nie mogąc przemówić ze wzruszenia, Ibrahim wyciągniętą ręką wskazuje cud wschodu.

- Śmierć Różanopalca... - odpowiada spokojnie adwokat.

Rozdział 2

Zegar okrętowy wybił właśnie jedenastą. Wyciągnięty na łóżku, Ibrahim oddawał się rozkosznemu uczuciu rozprężenia nerwów i mięśni. Od czasu do czasu tylko przemykały mu przez mózg pierzchliwe myśli. Co to za jacht? Do kogo należy? Co miał na myśli tajemniczy wybawca? Dokąd wieziono trzech rozbitków tureckiej rewolucji?

A potem znów powracał spokój. Pamięć ludzi Wschodu jest pustynią, którą przemiata od czasu do czasu samum gwałtownej jakiejś reakcji. Pędzą tumany piasku. Gną się palmy. Potem spokój wraca na niezmiernie równiny wspomnień, zapadające na nowo w słodki letarg. Fatalizm zwyciężał, przytłaczał w Ibrahimie pragnienie dowiedzenia się prawdy. O tej godzinie Abeddin bej, Herzen i Jussuf Georgijczyk wisieli z głowami w workach jak piękne grona winne chronione przed osami. Ciało ich uczył tych, którzy ośmielają się deptać ład publiczny, jakie są skutki spisków przeciwko republice. Ibrahim machinalnie przesunął ręką po karku, jakby chciał się przekonać, że wszystko jest nienaruszone. Odetchnął głęboko i wstrząsnął się, odpędzając widmo śmierci sprzed oczu.

Nagle uszy Ibrahima uderzył miły, perlisty, młody śmiech kobiety. Wychylił się przez okienko i spojrzał do góry. Nie zobaczył jednak nic prócz dwóch drobnych stóp obutych w pantofelki z wężowej skóry. Stopy te kołysały się w takt wybuchów śmiechu. Ich właścicielka musiała odpoczywać na leżaku. Słysząc było także i głos męski. Do uszu Ibrahima doszło kilka angielskich wyrazów. Wyciągnął szyję, chcąc lepiej słyszeć. Ale w tej samej chwili ktoś wszedł do kabiny.

- Co pan wyrabia? - zapytał adwokat. - Zgubił pan coś w morzu?

- Nie, ale zobaczyłem, że na pokładzie jest kobieta!

- Nawet dwie, mój drogi. Nie podoba się to panu? Woli pan wracać do Konstantynopola?

- Przeciwnie... ale chciałbym nareszcie poznać mego filantropa.

- Zaraz się tu zjawi. Będzie pan mógł zaspokoić ciekawość... Ale proszę, niechże pan pije swoją herbatę. Mamy jeszcze dwie godziny do śniadania. A może woli pan zostać sam?

- Nie, nie!... Przeszedłem aż nadto wystarczającą kurację samotnościową w więzieniu. Niechże pan siada, proszę.

- Ibrahimie. Teraz, kiedy burza przeszła i kiedy mamy sposobną ku temu porę, chciałbym zadać panu dwa pytania. Najpierw chodzi mi o jeden punkt, którego nie zdołałem wyświecić w zbyt szybkim biegu wydarzeń... Ach, panie, jeszcze raz chciałbym wytłumaczyć się z tego, że dopuściłem do skazania pana na śmierć. Zrozumie pan może kiedyś, jakie trudne miałem zadanie. Obronę wyznaczono mi ex officio i dano zaledwie jakiś cień akt. Dodać do tego czterdziestoośmiogodzinne śledztwo i sąd bezapelacyjny... Nie wiem, czy najznakomitsi adwokaci zdołaliby coś dla pana zrobić.

- Może pan być pewien, mój drogi, że nikt nie wydobyłby mnie stamtąd.

- A zatem teraz, kiedy powiedzenie prawdy niczym już panu nie zagraża, czy mógłby mi pan wyjaśnić, jaki był istotny udział pana w aferze z Dolma Bagcze. Nie będę przed panem ukrywał, że to wszystko - pańska obecność w Konstantynopolu podczas tych tragicznych wydarzeń, dobrowolne przyłączenie się do rewolucjonistów, którzy wszakże musieli być zupełnie dla pana obcy - wydaje mi się wielce tajemnicze. Dużo myślałem nad rozwiązaniem tej zagadki... Słyszałem o panu dużo, oczywiście. O pańskich sukcesach, zarówno sportowych, jak światowych. Tym

bardziej zaskoczyło mnie nazwisko pana wśród tych wychowanków bolszewików, którzy wyzwolenie ludów fabrykują za pomocą karabinów maszynowych, a szczęście jednostek widzą w powszechnej nędzy.

- Nie tak trudno znaleźć klucz tej zagadki. Spoczywa w ręku kobiety, naturalnie. Rozumie pan, że ja, syn bogatego Egipcjanina, nie mam w sobie tego społecznego snobizmu, który każe młodym kapitalistom francuskim i angielskim głosić - tylko głosić - wyrzeczenie się majątków. Mówię: tylko głosić - ponieważ nie zdarzyło mi się widzieć ani jednego z tych salonowych ekstremistów, któryby wprowadził w czyn swoje teorie i oddał kapitały do dyspozycji Kominternu. Jedno z dwojga zatem - albo ci bolszewicy w koronkach są tchórzami, którzy chcą się ubezpieczyć na wszelki wypadek, albo głupcami, którym rosyjskie doświadczenia nie otworzyły oczu. Widzi pan teraz, że nic mnie nie skłaniało do wzięcia ich strony w tureckiej rewolucji. Jeżeli wszedł w to wszystko i postawił życie na kartę - przyczyną jest kobieta. Wyłącznie i jedynie kobieta!...

- Czy ta, której tożsamości nikt tak naprawdę nie zdołał stwierdzić, a która wyslizgnęła się straży granicznej?

- Ta sama. Rewolucjonista z miłości, poszedłem za tą kobietą aż do Konstantynopola. Namiętność zawiodła mnie z alkowy - do stóp szubienicy.

- Kimże ona była właściwie?

- Wybacz pan, ale nie wyjawię panu jej nazwiska. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że urodziła się w Georgii, ma lat trzydzieści cztery, a jej wyniosła piękność kryje duszę płomienną i pełną entuzjazmu. Oczy jej mają błękitnawy chłód alpejskich lodowców, a włosy, jak warkocze Izoldy, mają złotopopielaty odcień dojrzałego jęczmienia. Cudowna kobieta...

- Zdaje się pan nie mieć do niej żalu... A przecież to przez nią oglądał pan śmierć z bliska!

- Mój Boże! Są kobiety, które zabijają własnoręcznie. To te, którym brak wyobraźni. Inne mają tyle delikatności uczuć, że powierzają nas rękom kata... Ale nie, ona nie chciała mojej śmierci. Wciągnęła mnie w tę awanturę, ponieważ, wbrew twierdzeniom sceptyków, są jeszcze po dziś dzień w Europie kobiety, których życie zadaje kłam powieściowym schematom. Oto więc przebieg wypadków. Pierwszego marca byłem jeszcze w Cannes razem z moją kochanką... Błękit dookoła: w morzu, w duszy, wszędzie. Miłość nasza liczyła sobie wówczas dwa lata. Byliśmy ciągle razem, z krótkimi przerwami, w czasie których ona jeździła do Konstantynopola, do ojca. Zrozumie pan wszystko, skoro się pan dowie, że jej ojciec był duszą tureckiego Komitetu Siła i Jedność. Władze wiedziały o jego obecności, ale tolerowały ją, ponieważ działalność Komitetu ograniczała się dotychczas do pocziwych manifestacji.

Pewnego wieczora grałem w bakarata w kasynie w Cannes i wygrałem sześć razy z rzędu. Pomyślałem wtedy: za duże mam szczęście, coś musi wisieć nad moją głową... I rzeczywiście, w chwili kiedy wstawałem od stolika, moja pani podeszła do mnie, odciągnęła mnie na bok i pokazała mi telegram.

„Lekarz orzeka: szkarlatyna. Co dzień gorzej. Sophia niespokojna. Przyjeżdżać. - Wuj Oskar”.

Nic nie zrozumiałem. Zaczęła mi tłumaczyć.

- To jasne. Lekarz - to papa. Diagnoza szkarlatyny - nieunikniona rewolucja. Zofia - to Konstantynopol, a wuj Oskar - sekretarz Zjednoczenia Syndykatów Komunistycznych. To on przesyła mi wiadomości w imieniu papy... To jego serdeczny przyjaciel. Wyjeżdżamy jutro rano i przesiadamy się na Simplon - Orient ekspres w Mediolanie.

Nie wahałem się ani minuty. Od pewnego czasu wiodłem życie zbyt spokojne jak na urodzonego poszukiwacza przygód. Zapytałem, co mianowicie mielibyśmy tam robić. Odpowiedziała mi z anielskim uśmiechem: spalić świątynię Hagia Sophia. Ani drgnąłem. Moje poglądy religijne są dość, że tak powiem, przypadkowe. Mój ojciec był bardzo umiarkowanym muzułmaninem. Matka - dość chłodną katoliczką. W Eton, kiedy mi przedstawiono spis sekt protestanckich, byłem zakłopotany niczym mała dziewczynka wobec menu w wielkiej restauracji. Z wielkiego szacunku dla karty - nie skonsumowałem nic. W Paryżu nagabywano mnie kolejno w imię wszelkich wyznań. Sumiennie rozdzielałem czeki pomiędzy synagogi i kościoły, krzyże i półksiężyce. Sierp i młot, przyznaję, nie miały we mnie dotychczas wyznawcy. Ale tym razem rewolucją częstowała mnie najmiłsza istota na ziemi. Nie kazała mi rozrzucić miedziaków, ale ciskać kamienie z bruku. To różnica.

Owego wieczoru, kiedy jej pomagałem zdejmować haftowaną perłami suknię, powiedziałem ze śmiechem, że jest czystym szaleństwem z naszej strony oddawać się dobrowolnie w służbę ludzi, którzy o ile utrzymają władzę, zaczną niewątpliwie od skonfiskowania naszych kapitałów, upaństwowienia moich samochodów i zamienienia jej klejnotów na fundusz propagandowy dla Maorysów. Wówczas moja Dalila, na wpół naga, pociągnęła mnie na łóżko i przyłożywszy niby lekarka najśłodsza głowę do mojej piersi spytała, czy, w razie czego, moja aorta wytrzyma nerwowe napięcie towarzyszące czynności zasypywania granatami kuluarów ministerialnych. Odpowiedziałem, że kiedy popatrzeć na to jak na wyczyn sportowy, nie mam już żadnych obiekcji.

- Ależ oczywiście kochanie! - wykrzyknęła wówczas. - Traktuj to sobie jak sport, jeżeli wolisz. Nie żądam od ciebie,

abyś był ideowcem. Zresztą ci, którzy robią rewolucję, nigdy nie działają z przekonania. Przekonania mają tylko ci, którzy do rewolucji podjudzają. Gdyby papa był przywódcą partii monarchistycznej w Portugalii albo liderem norweskich legitymistów, biegłabym z równym zapalem na jego wezwanie - a i ty, najdroższy, równie łatwo mógłbyś bronić i osłaniać piersią to, co będziesz palił i zajmował wraz ze mną. Czy wyobrażasz sobie, że to przekonania każą mi dążyć do urzeczywistnienia komuny powszechnej i do powrotu Unionistów w granice Turcji? Gdzież tam... Ale ojciec mnie wzywa. A, o ile nie wierzę w nic na świecie, wierzę w moją bezgraniczną, głęboką miłość i cześć dla niego. On, on jest naprawdę szczerzy... To apostoł, który dałby się ukamieniować w imię swoich społecznych utopii. Ja, która pluję w twarz moskiewskim komediantom zdobywającym władzę dla zaspokojenia swojej głupiej pychy; która drwię w żywe oczy z ich ambasadorów, z ich augurów wprowadzających w czyn komunizm przez wkładanie swoich milionów do banków londyńskich i genewskich... otóż ja klękam przed ludźmi takimi, jak mój ojciec, dla których ubóstwo osobiste jest hasłem sztandarowym, a których życie proste i prawe jest przykładem dla innych... Zatem z miłości dla tego, który mi jest drogi nade wszystko w świecie, idę rzucić się w to wszystko, bez wahania.

Tak to zatem wyjechaliśmy - ona i ja, dwoje dyletantów ruchów społecznych, improwizowani wrogowie kemalistycznego reżimu. Co mi się najbardziej podobało w tej aferze, to jej idealna wprost bezużyteczność. Szedłem walczyć po stronie powstańców - jakbym szedł na partię brydża. Przyznam się panu, że mnie to po prostu bawiło.

Skorośmy przybyli na miejsce, moja pani przedstawiła mnie kuzynowi Oskarowi - inaczej mówiąc Fiodorowi Piatyńskiemu, sekretarzowi generalnemu partii i duszy

Komsomołu - organizacji młodzieży komunistycznej. Radził nam jechać do Konstantynopola w charakterze zwykłych turystów, by nie budzić podejrzeń.

Tymczasem dzień, wyznaczony przez komitet Siła i Jedność w porozumieniu z sekcją bałkańską propagandy rewolucyjnej, był już bliski. Akcję zaplanowano jednocześnie na terenie Turcji, Mezopotamii, Arabii i Persji. Miał to być pierwszy akt dramatu brytyjsko - sowieckiego. Chodziło o utorowanie drogi do Indii dla dodania ducha nacjonalistom podminowanym przez Mahatmę Ghandiego i zachęcenia ich do powszechnego powstania przeciwko okupacji. Potem dopiero miano przystąpić do ostatecznego rozsądzenia cokołu brytyjskiego lwa. Następnego dnia po rozmowie z kuzynem Oskarem stanęliśmy w Pera Palace Nie wiem, czy pan jest tego samego zdania, ale sądzę, że Konstantynopol musiał wyrosnąć nad Bosforem tego samego dnia, kiedy Bóg wziął lekcję kompozycji w niebieskiej Szkole Sztuk Pięknych. Po prostu widzi się palec Najwyższego, którym ten niezrównany pejzażysta mierzy widnokrąg.

Przez całe trzy dni graliśmy oboje sumiennie rolę beztroskich turystów. Znałem wprawdzie Konstantynopol na pamięć, ale niektóre miasta nie nudzą nigdy, jak nie nudzi obecność, nawet bezustanna, kobiety o pewnej specjalnej kulturze. Słyszałem, jak podróżni skarżyli się na zniknięcie fezów i jaszmaków. To tak jak gdyby Broadway nie był sobą bez sztywnych słomkowych kapeluszy, a plac Zgody utraciłby coś ze swej harmonii linii bez zgrabnych figurek małych boyów biegnących przezeń z posyłkami! Ubiór ma swoją część w przysłowiowym czarze Wschodu, to prawda.

Ale czyż to nie przesada twierdzić, że Stambuł stracił rację bytu, odkąd czerwony fez zastąpiono w nim szarą czapką? Więcej niż mody i obyczaje zmieniły oblicze miasta częste pożary tego czarownego miejsca, gdzie ciche gromadki

małych, drewnianych domków skupiały się pod przemożną opieką wyniosłych meczetów. Przeklęty ogień zniszczył dolinę Lykusa, spustoszył okolice meczetu Bajazeta, rozsypał popioły aż po zamek Siedmiu Wież. Chciało nam się płakać na widok skutków niedawnych kataklizmów. Ale cóż! Polityka ma swoje racje, których serce uznać nie może.

Czwartego dnia u mojej kochanki pojawił się jakiś tajemniczy gość. Powierzono mu misję zaprowadzenia nas do jej ojca.

Pan Gheridze zajmował ciasne trzypokojowe mieszkanie w zupełnie nowoczesnym domu, w sąsiedztwie dyrekcji tramwajów. Był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu pięciu. Miał spojrzenie łagodne, a głos cichy i przekonujący. Nie było w nim nic z rozegzaltowanego sekciarza, wrzeszczącego na wsze strony o swojej nienawiści do ustalonego porządku. Nikt by nie przypuścił, że to uosobienie łagodności lada chwila ruszy do potężnego ataku. Mówił do nas tonem solidnego burżuja grającego w szachy na kanapce kawiarni Republikańskiej:

- Rewolucja turecka podłoży ogień pod Bliski Wschód. Zaskoczmy ich nagle, zanim potęgi europejskie, prowadzące ofensywę przeciwko bolszewizmowi, zdążą im przyjść z pomocą. W przeciągu pięciu dni opanujemy cieśniny, izolujemy Angorę. Nasi emisariusze, którzy od roku urabiają Syrię, Palestynę i Hedżas, czekają tylko na ten sygnał, którym będzie zbudzenie się ducha Starej Turcji. W Dzeddah porwaliśmy za sobą wszystkich pielgrzymów dążących do Mekki... Możemy być panami Konstantynopola, położywszy trupem tysiąc ludzi. Straty z naszej strony obliczam na jakieś dziesięć osób...

Śpiewnym swym głosem ojciec mojej kochanki układał sobie trupy od niechcienia, niby zapalki na stoliczku. Tak nieprawdopodobnie silna wiara przyprawiała mnie o zawrót

głowy. Pomyślałem wówczas, że wszelkie konflikty w przyszłości nie będą bynajmniej starciem się ras, walką zbuntowanego Wschodu ze skwaszonym Zachodem. Spengler w swoim Zmierzchu Zachodu, Keyserling w Rodzącym się świecie - biorą skutek za przyczynę. W przyszłości istnieć będzie wyłącznie walka tych, którzy nic nie mają, z tymi, którzy coś mają, walka analfabetów z intelektualistami, tych, którzy posiadają konto w banku, przeciwko tym, którzy przepijają swój dzienny zarobek, powszechny rabunek bogactw przez hordy proletariatu. Przenigdy żołnierze francuscy, niemieccy, włoscy i austriaccy nie rzucali na siebie z okopów spojrzeń takiej gwałtownej nienawiści, jaka zapala się w czasach robotnika, którego ochlapał w pędzie błotem powóz dyrektorski. Obywatele dwóch sąsiednich krajów nigdy dobrze nie wiedzą w czasie wojny, dlaczego właściwie się zabijają. Natomiast proletariatu każdego chyba narodu, zahipnotyzowany przez złych pasterzy, którzy schlebiają jego lenistwu i podsycają jego zazdrość, wydusiłby z satysfakcją własnych współobywateli. Azja nie pokazuje jeszcze kłów. Tylko bolszewizm, szakał potworny, ujada przed drzwiami cywilizacji zachodniej. Atak na własność indywidualną - oto konflikt, którego należy się spodziewać. Przebudzenie Azji, zalew Europy? To wszystko fantazja. Żółci przeciwko białym? Nie. Tylko moskiewscy opętańcy przeciwko dorobkowi cywilizacji grecko - łacińskiej, przeciwko wszystkiemu, co by zapewniło postęp ludzkości. Dopiero, kiedy się widzi, jak ci pogromcy religii tworzą z antyklerykalizmu podporę swego systemu pedagogicznego, a równocześnie ubóstwiają Lenina i czczą go jako Mesjasza ich religii - poznaje się, jak głęboko tkwi dwoistość w ludzkiej naturze... Wracając do tamtych spraw, ojciec mojej przyjaciółki wyjawiał nam swój plan i rozdzielił role. Powstańcy z Komitetu Siła i Jedność mieli skorzystać z wy-

jazdu Ghaziego ku granicy Kurdystanu i opanować koszary artylerii w Buyuk Mezaristan oraz arsenał w Top Slane. Potem miało nastąpić rozbrojenie, opanowanie posterunków wojskowych i punktów strategicznych miasta... No, ale pan wszakże zna to równie dobrze jak ja.

- Tak... Ale pan... osobiście...

- Dziesiątego maja widziałem moją kochankę po raz ostatni. Nastrojona entuzjastycznie przez ojca, z poświęceniem spełniała rolę łącznika pomiędzy Sztabem Generalnym Komitetu Siła i Jedność a stacją wywiadowczą Piatyńskiego na granicy bułgarskiej. Mnie, jako człowieka mówiącego po arabsku i turecku, wpakowano do pewnej jacejki starych Turków malkontentów pragnących przewrócić reżim kemalistyczny, choćby im to przyszło czynić w jak najgorszej kompanii. Przed rozstaniem umówiliśmy się, że spotkamy się w Bukareszcie natychmiast po ostatecznym triumfie rewolucji. Ani ona, ani ja, nie zamierzaliśmy wyciągać z sytuacji jakichkolwiek korzyści osobistych. Byliśmy sobie parą amatorów i niczym więcej. Ona przez miłość do ojca - ja przez pociąg do niezwykłych sytuacji.

Nieszczęściem, w nocy 14 maja moja jacejka została przeznaczona do działania na terenie Dolma Bagcze. Towarzysz, który nami dowodził, uczynił mi, że tak powiem, ten zaszczyt, że zrobił mnie swoim adiutantem. Byłem dosłownie nadziany ręcznymi granatami i bałem się każdego gwałtowniejszego ruchu, nie mając zbytniego zaufania do ich bezpieczników. Rozgromiliśmy w mgnieniu oka obrońców pałacu i obiegliśmy Dżemila Ali beja w jego własnym gabinecie. Trzech oblegających położył z rewolweru. Towarzysz dowódca wezwał go do poddania. Zamiast odpowiedzi wyciągnął w moją stronę rewolwer. Cisnąłem w niego stołeczkiem, jaki się znalazł pod ręką. Zechce pan zapamiętać, że go nie zabiłem. Całe zło wynikło z furii moich

pięciu towarzyszy. Dosłownie wydarli mi granaty i zarzucili nimi reprezentanta starego reżimu. Niestety chcieli, że w chwili kiedy zostało odniesione to świetne zwycięstwo, kemaliści byli już z powrotem panami Dolma Bagcze. Otoczono nas i skrupowano. Z walki wyszedł z życiem - z naszej strony - tylko towarzysz dowódca i ja. Oczywiście oskarżono nas o zamordowanie Dżemila Ali. Resztę pan wie: parodia sądu. Wyrok bezapelacyjny. Trybunał Niezależny. Oto moja odyseja, panie mecenasie. Oto, co czeka człowieka naszego świata, skoro wyrwie się z mikrokosmosu nieustannej zabawy, by tańczyć Międzynarodówkę pod balkonem Rewolucji.

Ibrahim bej wstał. Podeszedł do adwokata i rzekł serdecznym, proszącym tonem:

- Czyż i teraz jeszcze nie zdradzi mi pan nazwiska człowieka, który mi podarował rok życia?

- Nie, nie powiem. Nie powiem, ponieważ on pragnie powiedzieć to panu sam. Ibrahim bej miał już nowe pytanie na ustach, kiedy ktoś zapukał trzykrotnie do drzwi

kabiny. Wszedł mężczyzna w szafirowej marynarce i białych flanelach. Skłonił się z lekka i, wbiwszy w Ibrahima beja ostre spojrzenie szarych oczu, przedstawił się krótko:

- Hugo Schomberg.

Rozdział 3

Ibrahim bej przyglądał się właścicielowi jachtu z zajęciem. Nigdy w życiu nie widział był męża swojej kochanki, tego zdziwaczałego pana na Orliku, którego badania z dziedziny magnetyzmu wprawiały w podziw wtajemniczonych. Nigdy dotychczas nie poczuł na sobie jego przenikliwego spojrzenia, nie uległ przedziwnemu czarowi jego mowy. A więc tym, który go ocalił, był ów człowiek o szerokich barkach, włosach prawie białych, rysach przywiedłych niby u starego japońskiego wojownika. Doktor Schomberg wskazał gościowi fotel i odezwał się po francusku:

- Moje nazwisko wyjaśniło panu zapewne wszystko, co było niezrozumiałe w pańskiej przygodzie... Schomberg! Hugo Schomberg! Mąż pańskiej kochanki!...

Ibrahim bej usiadł.

- Istotnie... - odparł. - Rozumiem teraz wszystko... a raczej prawie wszystko.

- Ma pan rację... Nigdy, na tym świecie, nie możemy być pewni, że znamy całą prawdę. Co się tyczy pańskiej osoby, wyliczę panu fakty, które uważam za ścisłe. Sprostuje pan w razie jakiejś omyłki... Jest pan kochankiem Marewy od roku i jedenastu miesięcy. Spotkał ją pan w Berlinie, gdzie była sama, podczas gdy ja brałem udział w Międzynarodowym Kongresie nauk metafizycznych w Waszyngtonie. Kiedy wróciłem do Berlina, żona moja była dla mnie kimś zupełnie obcym. Usiłowałem zdobyć ją na nowo, cierpiałem bowiem straszliwie z powodu jej obojętności... Chciałem ją zabrać do Czech, do mego zamku w Orliku, który dla niej nabyłem i urządziłem z myślą o niej. Pewnego wieczoru mój kot syjamski Ahriman pociągnął mnie do pokoju Marewy... Pokój był pusty. Dowiedziałem się wkrótce potem, że jakiś człowiek był u niej tego wieczoru, w pawilonie ogrodowym nad Mołdawą. Tym nocnym gościem był pan... Czy nie tak?

- Tak.

- Idźmy dalej. Pewnego ranka zniknęła zostawiwszy na moim biurku lakoniczny list pożegnalny. Od tego dnia jej nie widziałem. Wszystkie starania, jakie czyniłem, by was odszukać, były bezowocne. Kiedyś dowiedziałem się, że jesteście w Cannes. Jadę natychmiast na Rivierę. Przyjechałem nazajutrz po waszym wyjeździe na Wschód... Ale dokąd?.. Mówiono mi o Kairze, Bejrucie, Konstantynopolu, Bukareszcie... Czemu wierzyć? Po tym ostatnim zawodzie wynająłem jacht od sir Tymoteusza Laurie, zaprosiłem kilkoro przyjaciół. Jedna z pań oświadczyła, że chce zwiedzić Konstantynopol. Płyniemy więc ku Dardanelom. Zaledwie wypłynęliśmy na Morze Marmara, depesza radiowa donosi nam o stanie oblężenia w Turcji i o pierwszych krokach rewolucji. Natychmiast pomyślałem o ojcu Marewy; wiedziałem, że mieszka w Konstantynopolu i przypuszczałem, sądząc z tego, co mi było wiadome o jego dawnej działalności politycznej, że musi brać czynny udział w rozruchach. A więc może i ona pojechała na Wschód? Zarzuciliśmy kotwicę na pełnym morzu, w pobliżu Wysp Książęcych. Kapitan Woods, dowódca „Andromedy” uzyskał od tureckich straży granicznych pozwolenie na zejście na ląd. Wpadłszy w wir rozruchów, postanowiliśmy z Woodsem dostać się do konsulatu angielskiego. Ale ruch po mieście był zupełnie niemożliwy. Zdobyłem tylko jedną cenną wiadomość - mianowicie, że dom teścia został spalony, a on sam oskarżony o kierowniczy udział w rozruchach. O mojej żonie żadnej wieści. Nikt nie umiał mi powiedzieć, czy w ogóle widziano ją w Konstantynopolu. Udało mi się zorganizować otrzymywanie stałych komunikatów o bieżących wypadkach. Rano 30 maja zaprzyjaźniony ze mną urzędnik, który mi dostarczał wiadomości, pokazał mi odbity na maszynie komunikat zwycięskiego rządu. Ze zdumieniem znalazłem

pańskie nazwisko pośród skazanych na śmierć. Poleciałem sprawdzić tożsamość. Wezwany przeze mnie do konsulatu adwokat potwierdził, że jest pan istotnie synem Ibrahima Paszy. Nie było już żadnych wątpliwości. Skazaniec turecki był tym człowiekiem, którego szukałem na próżno od dwóch lat. Wówczas wystąpiłem z propozycją, którą pan zna. Koniec końców znalazł się pan zdrów i cały na pokładzie „Andromedy”.

- Zdrów i cały na przeciąg dwunastu miesięcy...

- Istotnie nie byłem wspaniałomyślny bez zastrzeżeń; zamiast wyrwać pana spod szubienicy na resztę życia, ograniczyłem czas trwania mego podarunku... Ale nie przypuszcza pan chyba, że nadstawiałbym głowę i wyrzucał pięćdziesiąt tysięcy dolarów po to tylko, aby pana ściągnąć z powrotem na ziemię, z której się pan szczęśliwie wynosił - i to po to, aby pan mógł w dalszym ciągu zabawiać się z moją żoną? Wielu było świętych ludzi w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, ale, jak pan zapewne zauważył, przerzedzili się w późniejszych czasach. Ale wracajmy do rzeczy: Zabrał mi pan żonę, którą uwielbiałem. Zohydził pan i unicestwił największą miłość mego życia. Mógłbym powystrzelać was oboje. Przypadek podsunął mi jednak inny sposób zmuszenia pana do ekspiacji. Nie ja bynajmniej wymierzę panu sprawiedliwość. Zrobi to pan sam, Ibrahimie beju.

- O ile w ciągu roku nie zmienię zdania...

- Przypuśćmy teraz, że 5 czerwca 1929 r. cofnie się pan... Cóż wtedy czynię? Przede wszystkim wskazuję pana Turkom - i tym samym oddaję na pastwę ludzi, którzy dość mało cenią sobie cudze życie. Mogę też skończyć z panem na własną rękę - umieściwszy obok na widocznym miejscu deklarację, którą pan podpisał w więzieniu. Zgryzoty osobiste pchnęły pana do samobójstwa - cóż prostszego? Zostanie pan egipskim Werterem.

Zapadła cisza. Nagle Schomberg wstał. Twarde napięcie rysów rozpląnęło się w ironicznym uśmiechu.

- A teraz, kiedyśmy sobie powiedzieli wszystko, bez zdrad i wybiegów, nie wracajmy już do tych spraw. Niechże odzyska swoje prawa Światowa komedia i przyjacielski ton. Przedstawię pana moim gościom jako Jamila el - Khazena. Jest pan moim przyjacielem, którego przypadkiem zaskoczyła w Konstantynopolu rewolucja. Zaprosiłem pana na jacht i zabieram do Sorrento, Capri czy Barcelony, zależnie od tego, na co przyjdzie nam ochota... W Pireusie wysadzamy dyrektora więzienia, który aż do tego czasu będzie jadał w kabinie. Obiecałem mu korzystny udział w pewnym przedsiębiorstwie budowy statków. Potem zabieramy pana, dokąd pan zechce. Uprzedzam, że mamy dwie damy na pokładzie: miss Dafne Costello i panią de Montrechamp. W szafie jest biały flanelowy garnitur kapitana Woodsa, który ma podobną figurę do pana. Niech pan go włoży... Nie wątpię, że w tej niepokalanej bieli zdobędzie pan natychmiast serca najad z „Andromedy”.

Dafne Costello była Angielką z przymieszką krwi włoskiej. Ktoś, kto ją znał dobrze, porównywał ją do deseru, w którym kucharz pomieszał lody z ciepłym kremem.

Niezależna, jak tylko może być niezależną dwudziestodwuletnia panna z londyńskiego towarzystwa, Dafne przez dwa miesiące bywała często w zamku orfickim, gdzie doktor Schomberg usiłował opancerzyć jej serce przeciwko spustoszeniom miłości. Miała oczy florenckiej damy, a włosy jasne, krótkie i mocno pofryzowane. Bogata, wyzwolona, była ciekawa wszystkiego, co potępia oficjalna moralność, i wypowiadała anielskim głosem rzeczy, od których włosy stawały dęba.

Owego ranka Dafne wyszła na pokład w kostiumie kąpielowym, jakkolwiek nie miała zamiaru pluskać się w

falach Śródziemnego Morza. Kostium (kolor bażantowy i indygo) był przeznaczony raczej do wyprowadzenia z równowagi młodego przemysłowca, pana Baerenza.

Gawędziła właśnie z Lucyndą de Montrechamp, w buduarach i gabinetach bardziej znaną pod imieniem Lulu.

Kiedy doktor Schomberg ukazał się na pokładzie, zawołała wesoło:

- Panie, panie, proszę nam powiedzieć, kto jest gorszy, mężczyzna czy kobieta?

- Droga pani, co jest gorsze - proch czy kula? Ani jedno, ani drugie... Żle jest dopiero, kiedy się ze sobą spotkają. Po cóż to roztrząsacie panie te odwieczne problemy, kiedy mewy krążące nad statkiem zapraszają do lżejszych tematów? Zapomnijcież o przeznaczeniu człowieka, którym jest cierpienie, zgadnijcie raczej, jaką wam przygotowałem niespodziankę... Będę miał zaszczyt przedstawić paniom nowego pasażera, który tej nocy wstąpił na pokład „Andromedy”...

- Naprawdę?!

- Och! Któż to taki?

Obie, hrabina i Dafne, ujawniały niepohamowaną ciekawość. Schomberg roześmiał się.

- Ach, ach! Jeden zwierz więcej w menażerii, moje panie. Widzę po buziach, że jednak mężczyźni nie są całkiem zbyteczni, skoro przybycie nowego towarzysza tak bardzo ożywia atmosferę. A więc: Syryjczyk piękny, mity, bogaty...

Dafne pochwyciła rękę Schomberga.

- Mój złoty doktorku! Prędko, numer kabiny... Pójdę zawiązać mu krawartkę!

- Powoli, miss Dafne... Serce tego pana nie jest do wynajęcia.

- Skąd on się wziął?

- Z Konstantynopola. Zaskoczyła go tam rewolucja, a ja spotkałem go przypadkiem w angielskim konsulacie. Ponieważ nudził się śmiertelnie, zaproponowałem mu powrót do cywilizowanego świata na moim jachcie... Właśnie idzie ku nam, niech mu się pani przyjrzy.

Ibrahim bej zbliżył się do towarzystwa. Schomberg wstał, przedstawił gościa i odciągnął hrabiego Montrechampa ku kapitańskiemu mostkowi, gdzie właśnie Woods wyjaśniał panu Baerenzowi jakieś sekrety nawigacji.

Ibrahim bej wyglądał jak uroczy oskarżony w obliczu dwóch sędziów śledczych, pachnących różą i korsykańskim jaśminem. Mężnie wytrzymał ciekawe spojrzenia hrabiny i potok pytań Dafne. Ubawiony, usiłował wcielić się naprędce w swoją nową osobowość.

- Myślę, że najlepiej zdołam panie zadowolić, jeśli opowiem całe swoje życie, skondensowane do trzech minut 45 sekund... Jestem Syryjczykiem, urodziłem się w Bejrucie. Na imię mam Jamil, co po syryjsku znaczy „piękny”, mówię równie podle po angielsku, francusku, turecku i arabsku. To nie tylko lenistwo, to przebiegłość. W szesnastym roku życia porzuciłem Bejrut i przyjechałem do Paryża studiować sztuki dramatyczne. Chciałem zostać aktorem, zostałem - bo ja wiem czym? Gram, owszem - na wyścigach, w baka, w pokera i - w miłość... Panie wiedzą oczywiście, że trente et quarante i ruletka są niczym w porównaniu z hazardem miłości. Stawia się na serce - wychodzi byle miłostka. Ma się na rękę same dobre intencje - a tu przeciwnik bije cię sekwensem złościwości. Stawiasz na Wierność - masz ci! - wychodzą Rogi... Sądzę, że mędrzec powinien poprzestać na zwycięstwach w granicach własnego namiotu.

- Chce pan powiedzieć - zauważyła Dafne z westchnieniem bezgranicznej naiwności - że obywa się bez kobiet. Ale wszakże Narcyz umarł z tego.

- Nie, miss Costello... Chcę powiedzieć, że na przekór przysłowiu: „Kto raz pił, pić będzie” - nie można twierdzić, iż „kto raz kochał, kochać będzie”. Całe moje dotychczasowe życie zdaje się to potwierdzać...

Wszedł steward, oznajmiając, że lunch podany. Podróżni ruszyli w stronę jadalni. Na schodach Dafne szepnęła do ucha Schomberga:

- Mój drogi... pan el - Khazen siądzie obok mnie, prawda?

Turecka kawa pachniała rozkosznie w filiżaneczkach z chińskiej porcelany, ujętych w filigranowe brązowe obrączki. Bez troski nastrój przy stole szybko zbliżył nowego pasażera ze stałymi gośćmi „Andromedy”. Hrabia Montrechamp, któremu naraz przypomniały się wszystkie dawne studia nad Mekką, zasypywał pytaniami rozbitka tureckiej rewolucji.

Dafne podała Ibrahimowi połowę brzoskwini - i w tej samej chwili musiał przyjąć połowę winnego grona od Lulu.

- Szczęście - zauważył dość kwaśno Baerenz - że przy stole nie ma dwunastu pań. Mógłby pan założyć sklepik z owocami, panie Khazen.

Miss Dafne, opiekunka uciśnionych, podjęła rękawicę.

- Sklepik z owocami! W każdym razie pan z pewnością nie założy składu papieru z moich bilecików!

Krótkie to starcie nie pociągnęło za sobą większych konsekwencji. Schomberg, czarujący amfitrion, opowiedział jakąś anegdotkę, po czym wszyscy przeszli do palarni.

- Swoją drogą - odezwała się pani Montrechamp zapalając papierosa - miał pan szczęście, że doktor znalazł się akurat pod Konstantynopolem. Musiało tam być panu nie bardzo wygodnie w tym jakimś hotelu, gdzie pan czekał końca rewolucji.

- Istotnie, droga pani! Gdzie ja bym był bez kochanego doktora!

- Panowie robią wrażenie bardzo bliskich przyjaciół. Schomberg strzasnął popiół do małej miseczki z lapis lazuli.

- A tak. Przyjaciół takich, jak my, nieczęsto się spotyka. Ibrahim bej potwierdził najnaturalniej w świecie:

- Pan wie, doktorze Schomberg, że na pańskie skinienie rzuciłbym się w morze bez namysłu? Hrabia westchnął.

- Jakże piękną rzeczą jest przyjaźń między mężczyznami! Wy, ludzie Wschodu, pielęgnujecie ten rzadki kwiat z pietyzmem, który wam zaszczyt przynosi. U nas przyjaźń stała się towarem. „Przyjaciel” znaczy tyle co „kompan”. Czyimś kompanem zostaje się, kiedy mu się sprzątnęło żonę... Tymczasem wy dwaj...

- My dwaj to już na śmierć i życie, prawda, Schomberg?

Ibrahim bej wstał, przyzywany gwałtownie przez męża pani Montrechamp, który odkrył jakiś nowy heraldyczny skarb w bibliotece. Dafne, która słyszała koniec rozmowy, zapytała:

- Doktorze... Od jak dawna pan el - Khazen jest pańskim przyjacielem?

- Dwa lata. - Schomberg zniżył głos. - Biedny chłopiec, nie doczeka się starych kości... Rak... Specjaliści dają mu najwyżej rok.

Dafne, smutnie kiwając głową, piła drobnymi łyżkami swoją turecką kawę.

- Taki piękny mężczyzna... Skazany! To przerażające, kiedy się o tym pomyśli. Schomberg powoli oparł papierosa o brzeg błękitnej czareczki.

- Fatalizm przodków, Dafne - rzekł cicho.

Rozdział 4

Jacht sunie równo w błękitnej poświacie nocy. Od czasu do czasu ukazuje się na mostku sylwetka ludzka - zjawia się i niknie jak małe figurki na staroświeckich barometrach. Pomruk maszyn kołysze do snu podróżnych. Ibrahim bej został sam. Wyciągnięty na leżaku, wpatruje się w świetlistą smugę ciągnącą za statkiem, w biały trójkąt piany rozpływający się w cieniu nocy... Strzępki przeszłości, niby ogniki, tańczą na falach przed jego oczyma. Młodość w Kairze... Rozpieszczane dziecię nowoczesnego paszy... Pieszczoty matki, słodkiej Francuzki o głosie syreny i miękkich spojrzeniach kobiety zadowolonej z losu. Nie żyją oboje... Na szczęście nigdy się nie dowiedzą o tragicznym, dziwnym losie ich dziecięcia. Oto twarze jakieś wynurzają się z ciemności... Płasające najady to nikną, to wyłaniają się z fal. To wszystkie te, które kochał od czasu, kiedy wicehrabina Talabar pozostawiła go własnemu losowi na ścieżce rozkoszy. Lady Biddleworth o bajecznych biodrach; Nora Schurmann, jaskółeczka wiotka, snująca się pomiędzy dwoma marzącymi walcami nad brzegami modrego Dunaju; Odetta Harnault de Sainte-Croix, niepokojąca poetka o oczach Sfinksa; hrabianka Anielka Marnowska... Warszawa w śniegu i herbaciane róże u gronostajowego płaszczu... I dalej, dalej, w brzdach fal inne najady płasają mniej wyraźne, zamglone... Przygody zrodzone w świetle gwiazd, zapomniane razem z jutrenką, przelotne dreszcze, pocałunki, namiętność bez jutra...

I naraz przed oczyma Ibrahima beja zwiduje się twarz więziennego dozorca... Ciężkie drzwi celi... szubienica... ohydny sznur... A potem miękka, biała rączka daje mu znak... i wszystkie inne zjawy giną w mgnieniu oka. Zostaje tylko ona, Marewa; wyłania się z piany ze swymi krótkimi, jasnopopielatym i lokami, maleńkimi, purpurowymi usteczkami, okrągłymi ramionami i jasnym spojrzeniem. A

więc to ona! Ona, która kazała mu się wyrzec wolnej woli i rozumu. Tak, bo przecież rozumie teraz, że jego awantury nad Bosforem były czystym szaleństwem. Któż w jego sytuacji, nie straciwszy rozumu, szedłby dobrowolnie w szeregi dynamicznych? Czy w ogóle to wszystko nie było szalonym snem?

A Marewa? Cóż się z nią stało? Zobaczy ją kiedy jeszcze? Czy pokocha go mocniej za to, że tak chętnie naraził życie dla obcej sobie sprawy?

„Andromeda” stanęła w pobliżu wybrzeża. Aleksandria, niby spoczywająca na piasku kurtyzana, rozsypała nad wodą sznur białych willi. W porcie załadowane statki czekały na ostatnich turystów powracających do Anglii albo Stanów.

O szóstej po południu, po załatwieniu zwykłych formalności u władz portowych, „Andromeda” dobiła do mola, stając pomiędzy „Teofilem Gautier”, imponującym statkiem z Messageries Maritimes, a jakimś brzuchatym brygiem holenderskim.

Dafne i Lucynda z wysokości pokładu obserwowały mrowie tragarzy kręcących się w brudnych tarbuszach na głowie i portierów hotelowych w szambelańskich mundurach. Złote galony na błękitnych bluzach mieszały się z brudnymi i wszawymi łachmanami. W tłumie krążyła bezradnie policja.

Na mostku hrabia Montrechamp, Baerenz, Schomberg i Ibrahim bej gawędzili z kapitanem Woodsem. Dyrektora więzienia i adwokata wysadzono już w Pireusie. W Aleksandrii miano zabawić dwa dni. Schomberg uczynił to na prośbę Dafne, która uskarżała się, że od dziesięciu dni nie słyszała jazzu.

- Potrzeba dwóch popołudni w Claridge'u, żeby wypędzić mrówki chodzące mi po kolanach. Prawda, Lulu?

Hrabina Montrechamp potwierdziła skwapliwie.

- Oczywiście, doktorze! Panem et charleston1. Widzi pan przecież, że ta biedna Dafne od dwudziestu czterech godzin przygotowuje się do olśnienia brzuchatych kupców w Aleksandrii.

- Och, Lulu! Przesada...

- Nie, kochanie! We Francji mówi się, że spośród wszystkich zwierząt najwięcej czasu na toaletę poświęcają koty, muchy i kobiety.

O ósmej, podczas gdy Dafne i Lucynda schodziły w wieczorowych sukniach do salonu, gdzie czekał na nie hrabia Montrechamp z Baerenzem, Schomberg zastukał do kabiny Ibrahima.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałem jednak uprzedzić pana, że zaprosiłem moich gości na obiad do Mohamed Ali Club. Chętnie widziałbym pana razem z nami, ale myślę, że to byłoby dość nierozsądne. Co pan o tym sądzi?

- Wzrusza mnie pańska troskliwość, doktorze. Nie ulega wątpliwości, że poznałoby mnie natychmiast ze dwadzieścia osób. Wolę więc zostać tutaj.

- Tak też myślałem. Powiedziałem już nawet paniom, że jest pan trochę niezdrów i woli pan nie iść z nami. Czytał pan ostatnie gazety? Zbyt dużo jeszcze się mówi o pańskiej ucieczce. Iść na brzeg - byłaby to Scylla po Charybdzie. Zje pan sobie obiad na statku i zagra w pikietę z kapitanem Woodsem... Jest pan na „Andromedzie” u siebie... Aha, jeszcze słówko. Gdyby przypadkiem zechciał pan skorzystać z dzisiejszej nocy i zniknąć, uprzedzam pana, że będę zmuszony natychmiast zawiadomić poselstwo tureckie w Kairze. Zresztą zapewniam pana, że ucieczka bez jakichkolwiek papierów byłaby bardzo niebezpieczna. W ciągu dziesięciu dni, dwóch tygodni najwyżej, sytuacja zmieni się o tyle, że jak najchętniej sam pana uwolnię od tej przymusowej gościny, o ile będzie panu ciążyła.

- Doprawdy, nie wiem, jak mam wyrazić...

- Ależ nic, drobnostka. Ale byłoby przykre, gdyby się pan dał sprzątnąć jakiemu tureckiemu patriocie, kiedy tak się nastarałem, aby wyrobić panu roczną prolongatę.

Jasna noc, przepasana gazową szarfą Drogi Mlecznej. Światła okrętowe dygoczą w spokojnej głębi portu. Ruiny fortu Napoleona odcinają się szarą masą na błękitnym welonie nieba. Marynarz na mostku „Andromedy” marzy z fajką w zębach, wpatrzony w zielonawy odblask świateł na wodzie. Jest jedenasta wieczór. Od czasu do czasu dźwięczą dzwonki tramwajowe w mieście. Gdzieś w czeluściach holenderskiego statku gramofon wyrzaskuje modne rytmy. „Teofil Gautier” rozpala kotły na jutrzejszą podróż.

Ibrahim, wyciągnięty w tyle statku na leżaku, spogląda na tę niegościnną ziemię egipską, z której został wygnany. Mimo woli dławi go wzruszenie. Oto znowu widzi ten poczciwy aleksandryjski port, z którego tylekroć wyjeżdżał do Europy jako etoński uczniaczek, jako student, w interesach czy też - ot, tak sobie. Widzi go - a nie może wstąpić na swoją starą ziemię. Dziwny los! Mógłby powtórzyć za Robertem Browningiem: „Wszystko tu się zaczyna, ale tam się kończy”... Początek jakże był piękny! Wszystkie uśmiechy fortuny, wszystkie uciechy łatwego życia. A potem nagle zapadnięcie kurtyny na tę komedię o stu czarownych aktach, której akt ostatni miał go powieść „tam”. Do tego „tam”, w którym kończą się zarówno najboleśniejse dramaty, jak i wszelkiego rodzaju kołtuństwa. A wszystko dlatego, że ongiś przypadkiem na szosie Berlin - Poczdam znalazła się fatalna Georgijka, Marewa Gheridze. Nie było to tym razem klasyczne ziarenko piasku Cromwella, ale pyłek kurzu w karburatorze sześciocyndrowej maszyny.

Marewa... Czy zobaczy ją jeszcze?... No tak, Oczywiście, za wszelką cenę. Wyczyta przyszłość w kamieniu swego

sygnetu, głęboko żółtym, pręgowanym jak tygrys kamyku. Krew muzułmańska czyniła go przesadnym. Wierzył w moc niektórych kamieni, takich jak jaspis, hemetyt i onyks. Ów pierścień z pręgowanym kamykiem otrzymał w spuściźnie po Ibrahimie Paszy. Przynosił szczęście ojcu i dziadom. Dziadek Ibrahima wierzył był niezłomnie w nadprzyrodzone właściwości pierścieni „czarnoksięskich”, wyrabianych ongiś, w XVI wieku, przez pewnego Włocha, który był również twórcą przepaski noszonej jako talizman przez Katarzynę Medycejską. Ibrahim wiedział już jako mały chłopiec, że kamienie zmieniają swe właściwości zależnie od znaków zodiaku i barwy miesiący - że rubin uzbraja serce, szmaragd wzmacnia siłę spojrzenia, jaspis chroni od pioruna i złych snów, a różowy agat o białawych żyłkach uspokaja zmysły. Ale czy brunatny kamyczek w platynowej oprawie zwycięży serce Marewy?

Wyciągnięty wśród miękkich poduszek, Ibrahim wznosi kunsztowne gmachy przypuszczeń. Twierdzi Talmud, że Bóg, zanim stworzył świat w formie ostatecznej, zabawiał się stwarzaniem coraz to nowych światów, które potem niszczył. Tak i Ibrahim jedną po drugiej odrzucał pracowicie wysnute hipotezy - dla zabicia czasu i oszukania męczącego osamotnienia.

Rozlegają się szybkie, drobne kroki. Ktoś idzie przez pokład. Ibrahim odwraca się. Za nim stoi Dafne w aksamitnym płaszczku barwy geranium, podbitym srebrzystą lamą.

- To ja! Znowu ja!
- Cóż za niespodzianka, miss Dafne! Sama z powrotem?
- Tak. Czekają na nas w „Wenecji”.
- Na nas?
- Zaraz panu opowiem... Po obiedzie w Klubie Baerenz zaproponował spędzenie reszty wieczoru w kabarecie

„Wenecja”. Powiedziałał temu łotewskiemu cymbałowi: „Owszem, pójdę, ale pod warunkiem, że el - Khazen pójdzie z nami”. Schomberg zaczął wysuwać jakieś obiekcje, twierdził, że pan ma migrenę... To nie jest przyczyna. Puściłam więc całe zacne grono w trąbę, wskoczyłam w taxi i jestem... Niech pan kładzie smok, mój drogi, daję pięć minut.

- Bardzo to ładnie z pani strony, miss Dafne! Ale powiem pani szczerze, że nie mam wielkiej ochoty schodzić. Miałem tu kiedyś pewne przejście z aleksandryjskimi paniami i wolałbym nie spotkać się z nikim w mieście.

- Co za numer z pana! Znowu te miłosne historie! Ale to nie ma znaczenia. Siedzimy w dyskretnym boksie na uboczu; może się pan przyglądać, nie będąc widziany. Prędko, prędko... Zabieram pana!

W dwadzieścia minut później Ibrahim i Dafne wchodzili do jasno oświetlonego hallu „paryskiego” kabaretu „Wenecja”.

Pomiędzy północą a drugą rano ktoś posiadający dar wszechobecności mógłby słyszeć równocześnie we wszystkich restauracjach i kabaretach Starego i Nowego Świata, od zimnej północy po zwrotniki - te same dźwięki. Obok III Międzynarodówki moskiewskiej istnieje IV Międzynarodówka jazzu.

Aleksandryjska „Wenecja” nie stanowiła bynajmniej wyjątku od reguł ustalonych przez wszechświatowe sobory szalonych rytmów. Wszystko tam było zgodne z kanonami i tradycją: szampan podły i bardzo drogi, małe biszkopty na białych talerzykach, smętni, zblazowani kelnerzy i bladzi fordanserzy w czarnych smokingach. Grecy, Syryjczycy, Włosi, Smyrneńczycy, wszelkiego rodzaju wschodni włóczędzy - cała Aleksandria chcąc się bawić, bawić się koniecznie. Wspaniałe kobiety, spowite w ostatnie kreacje paryskich krawców, pomagały im w tym z owym

szczególnym wdziękiem, jaki aleksandryjki zachowały od czasów Ptolomeusza.

Schomberg, państwo Montrechamp, Dafne, Baerenz i Ibrahim zebrali się w swym boksie niby rycerze Okrągłego Stołu. Dafne znudzona Baerenzem, jego mdłym flirtem i fokstrotem, pochyliła się ku Ibrahimowi.

- Więc stanowczo nie chce pan tańczyć?
- Nie, miss Dafne. Jestem w rozpaczy, ale...
- Ale boi się pan, że jaka dawna kochanka się popłacze?
- Zgadła pani... Mam miękkie serce.

Westchnienia Dafne zagłuszył bęben obwieszczający specjalną atrakcję wieczoru. Zapowiedziano pannę Paprikę z Concert Mayol.

Tańczący rozsunęli się, opróżniając ciasną przestrzeń między stolikami. Snop bladobłękitnego światła padł na środek sali. Jazz zawrzeszczał modną piosenkę: „To ta kuzynka, mała Józefinka”. Panna Paprika wpadła z impetem, cała połyskująca pajetami, bosa, odsłonięte ramiona i piersi, szpicruta pod pachą, wyzywający monokl w oku, papieros w palcach... Mała czarnulka o błękitnych, lekko skośnych oczach pod prostymi brwiami; puszyste włosy równo ścięte nad czołem, żywe spojrzenie, prowokujący uśmiech, bajecznie ruchliwe ręce i nogi - panna Paprika z Concert Mayol. Wykrzykując cokolwiek zdartym głosem idiotyczne kuplety „kuzynki Józefinki”, kręci się i zygzakuje po małym, jaskrawo oświetlonym kwadracie między stolikami. To muśnie szpicrutą kark któregoś z gości, to wyzywająco wyciągnie rękę ku czyjejs tam łysinie... Stopniowo, w miarę jak ją pochłania własny taniec, odrzuca gdzie popadnie szpicrutę i papierosa, unosi sukienkę aż po biodra, kręci się, wiruje, wreszcie kończy mistrzowskim reweransem. Ale coś tam nie dopisało - i naraz panna Paprika pada jak długa na posadzkę, wyrzucając z siebie brzydkie przekleństwo.

- Ślisko, cholera...

Odpowiedziały jej śmiechy i oklaski. Jako próbka francuskiego dowcipu „Kuzynka Józefinka” pozostawiała wiele do życzenia. Ale panna Paprika była sama przez się niezmiernie zabawna. W jej ustach nawet tak głupie kuplety nabierały pewnego waloru. Tańczyła jeszcze przez pewien czas, aż w końcu zniknęła odprowadzana burzliwymi brawami. Zgaszono reflektory, muzykanci rozpoczęli na nowo przerwanego charlestona. Była pierwsza po północy. Lucynda i Dafne tańczyły z dwoma aleksandryjczykami, których przedstawił im Schomberg. Baerenz rozprawiał z doktorem o sytuacji finansowej Łotwy. Ibrahim, wciśnięty w kąt, poddawał się mimo woli gorzkiej rozkoszy tej muzyki. Spoglądał na tych wszystkich ludzi, owianych obłokiem dymu i perfum. I naraz przypomniało mu się nie wiadomo skąd zasłyszane ongiś powiedzenie: „Tańczyć jest to odmieniać aż do zawrotu głowy słowo pragnąć” Ibrahim nie był nieczuły na mroczną truciznę czystej muzyki. Zawdzięczał to raczej zachodniemu wychowaniu niż muzułmańskiej krwi. Mając lat dwadzieścia, zaczął rozumieć tajemną mowę wielkich kompozytorów, począwszy od Rameau, a skończywszy na Wagnerze. I jakkolwiek muzyka nie była czymś bardzo istotnym w jego życiu, zdolna była jednak upoić go i oszołomić. Toteż owego wieczoru trywialność dźwięczących dokoła niego melodii sprawiała mu cierpienie niemal fizyczne. Nagle do jego uszu dobiegł krzyk kobiecy spoza drewnianej przegródki, o którą był oparty. Krzyk protestu, o niezrównanym montmartre'owskim akcencie:

- Dość! Co za granda... Puśćcie mnie! Wstrętni jesteście obaj...

Zajęci dysputą panowie nie dosłyszeli ani krzyków, ani tego, co po nich nastąpiło: grubych wybuchów śmiechu,

szamotania i odgłosów uderzeń. Ibrahim natomiast zdołał rozróżnić w zgiełku rozgniewany głos Papriki:

- Mówię wam, żebyście mnie puścili!... Jesteście obaj spici jak świnie... Chcecie, żebym wołała o pomoc?...

Ibrahim zerwał się, wybiegł do korytarza i raptownie odsunął ręką zasłonę sąsiedniego boksu. Ujrzał Paprikę zmagającą się z dwoma wyfraczonymi jegomościami, którzy przytrzymywali ją wśród wybuchów pijackiego śmiechu. Tuż obok tego dziwnego trio krążyły tańczące pary i ryczały wściekle saksofony. Jeden z wesołych gości odwrócił się, nie puszczając Papriki, i spytał:

- A pan tu czego, he?

- Proszę natychmiast dać spokój tej panience, skoro nie życzy sobie towarzystwa.

- Ha, ha!

Drugi z groźną miną przysunął się do Ibrahima beja. Sucho i krótko kazał mu iść precz, równocześnie popychając go łokciem ku drzwiom.

Ibrahim cofnął się o krok i prawą pięścią walnął przeciwnika w szczękę. Tamten zachwiał się i runął jak długi. Paprika krzyknęła. Drugi jegomość zamierzył się pustą butelką na Ibrahima, który rzucił się nań ze zręcznością świetnie wytrenowanego sportowca. Wokoło tańczono nadal, tylko najbliżsi sąsiedzi wstawali z miejsc, oniemiaли ze zdumienia. Kobiety zaczęły krzyczeć. Ibrahim walczył zajadle. Ze stołu z trzaskiem leciały kieliszki. Do boksu wpadł Schomberg z Bearenzem, usiłując rozdzielić zapaśników. Łotysz jednym chwytem unieruchomił pijaka.

- Co za szaleństwo! - szepnął Schomberg. - Zabiorą pana na policję. Niech pan wieje, dopóki nie jest za późno. Spotkamy się na statku... Już, już...

Ibrahim zrozumiał grozę sytuacji. Wymknął się, korzystając z zamieszania, podczas gdy jego ofiara podnosiła

się z ziemi i z krzykiem wzywała dyrektora „Wenecji”. Nikt nie umiał wyjaśnić, co właściwie się stało. Schomberg oświadczył, że ktoś obcy przechodził korytarzem na chwilę przed zajściem. Dyrektor tłumaczył się przed publicznością, która zagroziła, że się postara o zamknięcie lokalu. Złość swą wyładował na Paprice; kazał jej odejść i zapowiedział, że nazajutrz się porachują. Z wolna zgiełk ucichł, kelner zebrał potłuczone szkło i wytarł kałuże wina. Jazzowi potępieńcy ze zdwojoną energią powrócili do swych instrumentów. Gdzieś wystrzelił korek, ówdzie rozległ się śmiech - po chwili zapomniano o całym zajściu i zabawa potoczyła się dalej. Kilka osób pijących w barze nie zauważyło tego nawet. Wśród nich Dafne i Lucynda, które przeszły ze swoimi partnerami na sherry - cobbler do baru. Wróciwszy do boksu, dowiedziały się ze zdziwieniem, że el - Khazen zniknął.

- Dlaczego? - wyjaśniał Schomberg. - Dlatego, że mój przyjaciel Jamil ma duszę Don Kiszota, mimo że chodzi bez zbroi. Pofrunął na pomoc pannie Paprice, której dokuczali dwaj klienci. Rozprawił się z impertynentami i zniknął za moją poradą, nie chcąc, byśmy musieli odwiedzać go w komisariacie.

Dafne klasnęła w ręce. Nie była bynajmniej zazdrosna.

- Błędny rycerz!

- Jak cała szlachta syryjska - dodał poważnie hrabia Montrechamp, który przyszedł na sam koniec awantury.

Wracając w godzinę później na statek, rozmawiano wciąż o pięknym geście pana el - Khazena. On zaś czekał na nich na pokładzie, paląc papierosa.

- Halo! Piękny rycerzu! - krzyknęła Dafne. - Powszechne gratulacje! To pięknie biec na pomoc zagrożonej cnotcie!

- Och, miss Dafne! - roześmiał się Ibrahim. - Cnota i panna Paprika? To tak jakby szukać maków na Szpicbergu! Ale kiedy się widzi, jak dwóch pasibrzuchów maltretuje

biedną, małą Francuzeczkę, nie trzeba pytać o świadectwo moralności.

W chwilę później, kiedy towarzystwo rozchodziło się do swoich kabin, Ibrahim skinął na Schomberga:

- Doktorze... Chciałbym prosić o pewną przysługę.

- O co chodzi? Jeżeli tylko będzie w mojej mocy...

- Och! To nie jest takie trudne. Nie mogę pokazywać się na ładzie podczas naszego pobytu w Aleksandrii, chciałbym więc prosić, aby był pan łaskaw pozwolić tej małej Paprice przyjść tu pogawędzić trochę ze mną popołudniu, kiedy pańscy goście pójdą na miasto.

- Ależ oczywiście! Nie widzę przeszkód.

- Niech się pan nie dziwi tej fantazji, ale, kiedy tam wszedłem widziałem tyle wdzięczności w spojrzeniu, jakie mi rzuciła... Rozumie pan? Ta mała mnie wzruszyła. Chciałbym jej powiedzieć, że nie wszyscy Egipcjanie są podobni do tamtych dwóch meteków.

Doktor Schomberg patrzył na Ibrahima niewidzącymi oczyma. Widać było, że nad czymś głęboko rozmyśla. Nagle uśmiechnął się zagadkowo.

- Rozumiem - odparł. - Zresztą to śliczne stworzenie. Jutro po śniadaniu sam po nią pójde. Powiem jej, że wczorajszy obrońca marzy o wypiciu z nią herbaty na „Andromedzie”, i ręczę, że skorzysta z okazji podziękowania panu za wszystko.

- Dziękuję, doktorze.

Schomberg, stojący już na stopniu, odwrócił się jeszcze i zaprotestował z tym samym tajemniczym uśmiechem:

- O, nie ma za co... To moja powinność...

Rozdział 5

- Czy zastałem pannę Paprikę? Chciałbym się z nią zobaczyć. Portier, którego twarz z profilu do złudzenia przypominała mordkę szczura piżmowego, odpowiedział doskonałą francuszczyzną:

- Chce pan mówić z Papriką? To pan źle trafił. Właśnie dostała wymówienie.

- Jak to, dlaczego?

- Z powodu wczorajszego skandalu. Nie był pan wczoraj w „Wenecji”? Nie? Mówię panu, mieliśmy przez nią bijatykę w jednej z łóż. Rannych nie było, ale publika nagadała dyrektorowi. Rozumie pan, że zaraz potem przegonił dziewczynkę na cztery wiatry.

Schomberg słuchał zmartwiony.

- No, ale przecież nie zniknęła z powierzchni ziemi? Gdzież ona mieszka?

- W hotelu Smyrneńskim obok Giełdy. Może ją pan tam odwiedzić.

Schomberg wsunął dziesięć piastrów w rękę portiera i ruszył na poszukiwanie hotelu Smyrneńskiego. Znalazł go w końcu. Była to biedna dziura, zwykłe maison meuble przy jednej z wąskich uliczek w okolicy Giełdy, pomiędzy owocarnią a sklepikiem porcelany. W uliczce unosił się intensywny zapach, mieszanina dojrzałych bananów, korzeni i mocno palonej kawy. Wskazano mu numer 14 na drugim piętrze. Zastukał. Odpowiedziało mu milczenie, nacisnął więc klamkę i wszedł cicho. Żaluzje były zapuszczone, w pokoju unosił się zapach tanich perfum i papierosów. Paprika leżała z twarzą wtuloną w poduszkę, którą przyciskała do siebie nagimi ramionami.

- Co tam? - wyjęczała przez łyży. - Proszę mi teraz nie sprzątać... Schomberg podszedł do łóżka i dotknął lekko nagiego ramienia.

- Cóż, panno Papriko? - powiedział miękko. - Mamy wielkie zmartwienie, prawda? Czarna główka uniosła się gwałtownie. Paprika przełknęła łzy i wytarła oczy.

- Czego pan chce ode mnie? Kto pan jest?

- Chcę pani dobra, moje dziecko.

Gość wyglądał tak miło i patrzył na nią z takim współczuciem, że Paprika uniosła się na łokciu i przyjrzała mu się przychylniej.

- Chce pan mojego dobra, bez żartów? - powiedziała ze smutkiem i ironią. - No, no - jeszcze tutaj nikogo takiego nie spotkałam. Doprawdy, można powiedzieć bez przesady, że pech nie opuścił mnie ani na chwilę, odkąd tu przyjechałam... Ach, ten Wschód! Piękny Wschód! Uff!

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Doktor Hugo Schomberg. Byłem właśnie w „Wenecji” wczoraj wieczorem, kiedy się zdarzył ten przykry wypadek... Przypomina mnie sobie pani? Pewno nie, taki był zgiełk. To ja przyszedłem z przyjacielem uspokoić pani towarzyszy, kiedy inny z moich przyjaciół znokautował owego orangutana, który ośmielił się panią napastować.

Paprika przyglądała się Schombergowi z uwagą. Istotnie, przypomniała go sobie teraz.

- Ach tak, już wiem. Pamiętam doskonale. No i cóż? Pan też przychodzi się złościć?

- Ani trochę, panno Papriko. Wracam z „Wenecji”; portier opowiedział mi o pani kłopotach. Jakże to było naprawdę?

- Było tak, że ten bandyta Zaphyres podarł mój kontrakt bez ceremonii. To bydlę! Pan sam przecież widział, że to nie ja zawiniłam. Było zastrzeżenie w kontrakcie, że po piosenkach muszę się napić z panami, którzy mnie zaproszą. Tamci zaproponowali mi szampana. Idę, aż tu po pół godzinie - masz! Obaj pijani i zaczynają sobie za dużo pozwalać. Ja tam nie jestem taka znów surowa... wiadomo, artystka. Rozumiem,

że można się zabawić trochę weselej. Ale co za dużo, to niezdrowo. Musiałam się bronić... Ledwo wytrzymałam, żeby mu nie dać w pysk. Groziłam, że zawołam o pomoc, a ten nic. Rzucił się na mnie jak wariat i ugryzł w kark. Zaczęłam krzyczeć, chyba się pan nie dziwi. Wtedy właśnie przyszedł ten śliczny chłopiec i zrobił porządek... Nawet nie zdążyłam mu się przyjrzeć... Ach, panie, słowo daję, że mi teraz nie do śmiechu, a jednak mało nie pęknę, kiedy sobie przypomnę tego opaślucha, jak upadł z rozplaszczonym pyskiem! Dalej już pan wie. Zaphyres zawołał mnie dziś do siebie i na moich oczach podarł kontrakt. Powiedział, że się zachowałam jak ostatnia rogówka i że powinnam się cieszyć, że nie żąda odszkodowania. I co tu robić z takim, panie? Prawo mam za sobą, ale wytoczę to mu proces? Powiedział mi, że niech no tylko palcem ruszę, wypędzi mnie z Aleksandrii przez policję. Sprawiedliwość, co? To tak wszędzie. Zawsze słabszy wpadnie. No i co? Jestem na bruku, w kieszeni raptem 800 franków, ani engagement, ani nic... I pomyśleć, że mój impresario w Paryżu tyle mi naopowiadał o tym Egipcie! „Zobaczysz, moja mała - powiedział mi - Aleksandria, Kair to raj dla takich ślicznych dzióbeków jak twój. Złapiesz sobie jakiego paszę siedzącego na złocie, a jak dobrze głową pokręcisz, będziesz miała pod koniec sezonu jacht na Nilu i pałac na Desire...”

- Nie... na wyspie Ghesireh...

- Wszystko jedno, coś w tym rodzaju. No, dobrze się zaczyna, nie ma co. A ja odrzuciłam taką śliczną rolę w rewii Marigny'ego, żeby kusić szczęście w tym przebrzydłym kraju! Wie pan, ten Egipt to dziwnie paskudny. Piramidy! Sfinks? Nic podobnego nie ma w całej Aleksandrii. Już lepsza Afryka jest w Tulonie, słowo daję!

Schomberg słuchał nieszczęsnych dziejów Papriki z uśmiechem.

- Nie zna pani ani kawałka Egiptu, moje dziecko. Aleksandria to banalny przedsiomek wspaniałego pałacu. Ale nie o to chodzi. Siedzi pani w tym hotelu Smyrneńskim, w pokoju pełnym złych wspomnień... A ja tu właśnie przyszedłem, żeby je pomóc rozpędzić.

- Właściwie, jak już mi się zebrało na wspomnienia, to muszę się przyznać, że w tych wszystkich suchych patykach mam jedną różyczkę... To ten śliczny pan, co przyszedł mnie ratować. Szkoda, że mu nie mogłam podziękować. Tylu jest kołtunów na tym świecie, że jak się spotka człowieka do rzeczy, to by mu się chciało jakoś wywdzięczyć.

Paprika zarumieniała się. Powoli odzyskiwała zwykłą sobie kokieterię. Wyciągnęła rękę do swoich kremów i pomadek. Naraz drgnęła i zaczerwieniła się okropnie.

- Ach! Panie! Całkiem straciłam głowę. Jak ja wyglądam!

Narzuciła szybko szafranowy peniuar, przejechała po włosach grzebieniem, pozbierała naprędce porozrzucane szmatki i usiadła z powrotem na łóżku.

- A więc doprawdy żałuje pani, panno Papriko, że nie zdążyła pani podziękować temu panu? Jeżeli tak, to dam pani świetną sposobność po temu. Zapraszam panią na herbatę z nim na mój jacht stojący w porcie.

Paprika znieruchomiała z wrażenia. Patrzyła na Schomberga, jakby nie wierząc, w końcu gwizdnęła przeciągle:

- Fiuuu,.. Jacht! Ależ to musi być forsa, panie!

- No tak, nie jest źle, jeżeli o to chodzi. Zobaczy też pani, że nie najgorszy jestem jako gospodarz. A tymczasem trzeba by uregulować rachunek w hotelu, prawda? Jakoś da się może pospedzać troski z tej ślicznej główki. Tylko wsuniemy do tamtej torebki parę papierków, które zapewnią spokój na jakiś czas.

- Och, proszę pana! Ja tego nie mogę przyjąć... Przecież wcale się nie znamy.

- Niech pani nie protestuje, bardzo proszę. Wiem przecież, że z pani dobre, miłe dziecko. Ma pani w każdym razie dobre serce i szczerłość, a to są prawdziwe zalety.

- Skądże pan może o tym wiedzieć?

- Lekarze znają się trochę na ludzkich duszach... A więc, panno Papriko, nie traćmy czasu. Proszę się ubierać, a za godzinę przyjdę zabrać panią na jacht.

- Nie wiem, jak panu dziękować... Doprawdy, ja...

- Sza! Niech się pani uczyni piękną, podoba się swemu obrońcy, a tymczasem - do widzenia za godzinę.

Panna Paprika weszła z Schombergiem na pokład ubrana w śliczną sukienkę z crepe de Chine malinowej barwy. Z zachwytem spoglądała na biały jacht.

Gospodarz wprowadził ją do salonu, a kiedy zagłębiła się z rozkoszą w przepastnym fotelu, rzekł:

- Zaraz sprowadzę tu pani rycerza.

Kiedy wszedł do kabiny Ibrahima beja, znalazł go zaczytanego w azjatyckich źródłach mitologii skandynawskiej, które wygrzebał właśnie w bibliotece.

- Ibrahimie beju, spełniłem pańską prośbę.

Egipcjanin i Paprika wyszli na górny pokład. Umieścili swoje trzcinowe fotele w kącie, pomiędzy łodzią ratunkową a skrzynią na flagi. Zwróceni twarzą do portu, zasłonięci byli od wszelkich niepowołanych oczu. Zielona połyskująca złościście woda chlupotała dyskretnie o kadłub białego jachtu. Daleko, na molo, skrzypiał i jęczał żuraw wyładowujący węgiel z jakiegoś brzuchatego stateczku.

- Pani, Papriko, jest doprawdy nadzwyczajna - gawędził Ibrahim, bawiąc się dłonią towarzyszki. - Nie wyobrażam sobie, jak się można nudzić przy pani... Mówi pani, że ma dwadzieścia dwa lata. Jakżeż je pani spędziła?

- Och! Może pan być pewien, że nie w koronkach i jedwabiach! Moja mama usługiwała artystom w „Renesansie”. Co do mnie, to poczęłam się chyba tego samego dnia, kiedy pan Lucjan Guitry odniósł taki piękny sukces... Mama, która mu zawsze czyściła kostiumy, taka była wzruszona sztuką, że upadła, że tak powiem, w ramiona montera od elektryczności. To było poczciwe chłopisko, nawet się z nią ożenił... Miałam wtedy dwa lata. Może pan sobie wyobrazić, jak to żyje taka mała figa... Najpierw podwórko i palec w nosie, potem szkółka z warkoczykiem na plecach, później zawodowa szkoła szycia... Ile się tam napsułam materiałów! Już do tego to nigdy nie miałam drygu!...

Ale muszę panu opowiedzieć o początkach mojej kariery artystycznej... To były kawały, powiadam panu! Miałam przyjaciółkę w szkole zawodowej. Jej siostra, Gaby, grała w wielkiej rewii w „Moulin Rouge”. Miałam wtedy akurat czternaście lat i pół i byłam mały berbec, jak trzy kasztany jeden na drugim. Kiedyś Gaby powiedziała do mnie: »Dlaczego ty nie pójdziesz do „Moulin”? Wieczorem mama siedzi w „Renesansie”, mogłabyś wylecieć między dziewiątą a jedenastą, zarobiłabyś piętnaście franków. Kławo by było. Tylko musisz iść do reżysera z mamą, to już sobie jaką wyszukasz«.

Niech pan pomyśli, jaka pokusa! W tym był tylko sęk, żeby sobie tak na łapu - capu wynaleźć jakąś mamę. W dwa dni potem Gaby mnie spotyka i powiada: »Nini, znalazłam ci mamę. Pani Triplechon, ta stara, co siedzi przy gabinetach w Cafe Pigalle. Będzie kosztować trzydzieści franków«. Idę z Gaby do starej i jazda do reżysera. Wziął mnie na damę dworu Królowej Liliputów. Powiadam panu, jakby mnie kto na sto koni wsadził. A jaka sukienka! Złota, kusiutka, i taki ogon! Z próbami była granda. Pierwszego dnia rymnęłam jak długa, przez ten ogon, i wyleciałam aż do orkiestry. Drugiego dnia o

coś się znów potknęłam i złapałam za zbroję lilipuciego rycerza... wszystko mu popsułam. No, wreszcie, koniec... Debiut... Sukces, powiadam panu, że ho ho! I tak co wieczór - myk z rodzicielskiego domu kwadrans po dziewiątej, w te pędy do „Moulin Rouge” - i piętnaście franków jak znalazł... Byłam szczęśliwa i dumna jak paw. Artystka, i to nieźle płatna, może nie?

Wszystko było dobrze dwa tygodnie. Aż tu któregoś dnia słyszę na sali, ledwo weszłam na scenę: »Moja córka! Moja Nini! Co za hańba!« Moja mama to, tak umiała wrzeszczeć, jak w dramacie. Ledwie żywa więję za kulisy, a tu mama wyje na cały teatr: »Moja Nini w takiej rewii! To jest deprawowanie nieletniej! Idę na skargę do komisariatu! Gdzie tu jest reżyser?« Co to był za wieczór! Ale najgorzej było, kiedy Gaby wygadała się ze strachu, że podstawiła mi za matkę tę Triplechon z Cafe Pigalle. Mama obraziła się wtedy na fest »Podać za własną matkę taką śmieciare, co sprząta watery w knajpie! Przeklinam cię, ty łajdaczko«

Ibrahim bej słuchał ubawiony. Ta mała wносиła ze sobą powiew atmosfery Montmartre'u. Śmiały się jej oczy i śmiał komiczny pyszczek. Przypominała mu dawne jego przygody w Butte - Chaumont, znajomości, których początek i koniec zamykał się pomiędzy placem Tertre a Notre - Dame - de - Lorette, kiedy to jako młody i bogaty cudzoziemiec oswajał dzikie ptaszyny z barów o różowych lampach, nocne jaskółki, idące skubać z byle otwartej dłoni.

Podał Paprice papierosy.

- No i co pani zrobiła potem?

- Potem? Mama i ojciec pomarli, jedno w dwa lata po drugim. Źle mi było samej. Zamieszkałam razem z Gaby, która powiedziała mi pewnego dnia: »Pięknie zaczęłaś, mała.

Gdyby nie awantura twojej biednej matki, byłabyś dziś może w Comedie - Francaise... Już ja tak zrobię, że jeden stary

baryton będzie ci dawał lekcje śpiewu. To byczy gość, jak się uprze, to nauczy śpiewać nawet lampę».

No więc, robimy w operetce z panem Francassołem, dostaję engagement do Gaité - Lyrique, do malutkiej roli w „Mascotte”. Ale tak, Bogiem a prawdą, to to też nie było dla mnie. Któregoś dnia Gaby mi powiada: »Mówiłam o tobie z Francassołem. Z ciebie może coś być, ale trzeba skończyć z tym wyrzaskiwaniem staroświecczyzny sprzed potopu. Na twoim miejscu, pokrećłabym się koło Lizetki Saujac z Concert Europeen. Jeżeli się jej spodobaś, zrobi z ciebie Bóg wie co». Zrobiłam, jak radziła, i to właśnie Lizetka Saujac uczyniła ze mnie Paprikę.

- No, a jakże tam sprawy sercowe?

- Och, ja nie jestem taka, na jaką może wyglądam... Widzi pan, Lizetka Saujac zawsze mi mówiła: „Moja mała, jeżeli nawet masz takie miękkie serce, że płaczesz nad katarynką, trzeba mieć L'air vache... Z mężczyznami trzeba ostro... Im ty bardziej z góry, tym więcej taki za tobą lata... No więc, widzi pan, musiałam mieć l'air vache, żeby dojść do czegoś. Ale, mówiąc między nami, to coś takiego jak fałszywy nos, który sobie przyklepam, kiedy idę między ludzi. W głębi duszy wciąż jestem sobie takie głupie stworzonko, do obrzydliwości romantyczne, i nic na to nie mogę poradzić.

- Nie ma się czego wstydzić, panno Papriko. To śliczna rzecz - czyste serce, które potrafi zadrgać wzruszeniem wobec czegoś, co jest tego warte.

- Może i tak, ale tym, które mają twardsze serca, wiedzie się lepiej. Na przykład taka Lizetka Saujac, która powiada, że „prawdziwa miłość prowadzi do szpitala”, i drwi sobie ze wszystkiego - tak się umiała zakrećić, że się z nią jej przyjaciel ożenił! Bogaty gość, fabrykant sukna z Elbeuf... Gdyby go pan widział! Stara sowa na deszczu! Ja bym nie potrafiła...

- To się pani tylko chwali.

- Mówiłam panu, że jestem porządniejsza, niż się wydaje, i to jest prawda. Pierwszy raz miałam przyjaciela, jak miałam dziewiętnaście lat. Byłam bardzo szczęśliwa, a potem bardzo nieszczęśliwa. To tak zwykle bywa, prawda? Miłość to jak huśtawka albo waga: dziesięć gramów radości z jednej strony, dziesięć gramów smutku z drugiej. Jak komu za dobrze zważą od razu, musi potem słono zapłacić.

- Czemu? Za młoda pani, żeby tak mówić. Myślę, że jeszcze nie raz w życiu czeka panią dobra waga.

- Mogłabym w to uwierzyć, kiedy na pana patrzę.

Ibrahim bej spojrzał na towarzyszkę. Niemal naiwny ton i szczerłość, z jaką wypowiedziała te słowa, zdziwiły go, ale zdziwiły przyjemnie.

- Naprawdę ma pani dla mnie trochę sympatii?

- Och, tak... Przede wszystkim to zawsze ogromnie wzrusza kobietę, kiedy się staje w jej obronie. A przy tym pan ma w sobie coś, co przyciąga, bo ja wiem, co? Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale pan sam musi wiedzieć, ile skowronków upolował pan tymi oczami... Już ja się na tym znam.

- Jeżeli jest pani taka bystra, panno Papriko, to musiała pani coś zgadnąć... Taką bym miał ochotę zatrzymać panią na obiedzie.

- Klasa! Gdzie? Na mieście?

- Nie. Za długo byłoby to tłumaczyć, ale są powody, dla których nie mogę pójść do miasta. Jeżeli pani zechce, zjemy obiad tutaj we dwoje, dobrze? Moi przyjaciele są na wycieczce.

- Cudownie! Tak lubię okręty! Jak byłam tyca, bawiłam się z chłopcem od stróżki. Jeździliśmy ślicznym jachtem żaglowym.

- Proszę! Gdzież to?

- Puszczaliśmy go na basen w parku Tuileries.

Paprika, siedząc przed lustrem w swoim pokoju, w zamyśleniu przeciągała brwi uczernioną szczoteczką. W myśli przeżywała dzień spędzony na „Andromedzie”. Rozmowę na pokładzie, obiad w towarzystwie tego człowieka, który tyle jej okazywał serdecznej uprzejmości, tyle względów należnych kobiecie, którą się głęboko szanuje; wreszcie pożegnanie na pokładzie, o jedenastej wieczorem, pożegnanie nie pozbawione lekkiego, miłego wzruszenia, jakie towarzyszy rodzącej się przyjaźni...

Rozmyślania przerwał jej chłopiec hotelowy z listem.

„Droga Panno Papriko - przeczytała. - Chciałbym bardzo pomówić z panią przed wyruszeniem jachtu, które nastąpi dziś o ósmej wieczorem. Proszę, niech pani będzie tak dobra i przyjdzie do Claridge'u, gdzie będę na panią oczekiwał o 12.45, na śniadanie. Szczerze oddany dr Hugo Schomberg”.

W godzinę potem Paprika, niecierpliwa, zaciekawiona i cokolwiek wzruszona spotkaniem z dziwnym pocieszycielem, spotkała się z Schombergiem.

- A zatem, panno Papriko, jest pani w tej chwili wolna duszą i ciałem?

- O, tak - odparła bez wahania Paprika, niosąc właśnie do ust wspaniałą deltańską figę. - Ciałem i duszą. Jestem dziewczicą od trzech i pół miesiąca. Niezła przerwa w dzierzawie, co?

- Owszem. A któż był ostatni?

- Kolega z Concert Mayol. Podobał mi się. Połączyliśmy się węzłem dozgonnej miłości. „Zgon” przyszedł po sześciu tygodniach, za obopólną zgodą. Kurtyna i szlus!

- Dobrze... To bardzo dobrze. A teraz pomówimy szczerze jak starzy przyjaciele. Mam nadzieję, że pani nie ma do mnie żalu o to, że przyszedłem do hotelu i poznałem panią z moim przyjacielem?

- Jestem panu taka wdzięczna! Był pan jak dobry duch.
 - A zatem, przystępuję do rzeczy. Czy bardzo zależy pani na tym, żeby siedzieć w Aleksandrii i próbować szczęścia w innych „Wenecjach”?
 - Nie, a co?
 - Bo chciałbym panią zaprosić do nas, na „Andromedę”, na resztę podróży.
 - Och! Ależ...
 - Ależ co?
 - Tam na statku taki wielki świat... Te panie... Pański przyjaciel mówił mi o tej hrabinie, o tej jakiejś bogatej Angielce. Nie boi się pan, że taka sobie dziewczynka z music - hallu będzie je raziała?
 - Przeciwnie, wszyscy będą zachwyceni. Na morzu nie jest znów tak zabawnie. Pani rozrusza trochę moich gości. Ma pani tyle humoru, śpiewa pani bajecznie. A prócz tego wszystkiego mój przyjaciel, pan el - Khazen... Zdaje się, że zrobiła na nim pani duże wrażenie. Podoba mu się pani, o tak. No, a pani?
 - Ja... Mogę chyba powiedzieć prosto z mostu, skoro jesteśmy w przyjaźni, co? A więc, powiem panu, ten człowiek będzie mnie miał, kiedy tylko zechce.
 - A zatem niech pani posłucha uważnie, Papriko... Powierzę pani tajemnicę, wielką tajemnicę, a pani przyrzeknie, że nie powtórzy nikomu.
 - Przysięgam, jak mamę kocham.
 - Mojemu przyjacielowi pisane jest niedługie życie. Wada serca i to ciężka. Rozumie pani, co to znaczy? Groźba śmierci w każdej chwili. Specjaliści dają mu najwyżej rok.
- Paprika wypuściła złocony nożyk z ręki i patrzyła na Schomberga z osłupieniem.
- Skazany? Bezpowrotnie skazany? - spytała bardzo cicho.

- Nie mamy co do tego żadnych złudzeń. Ale za wszelką cenę trzeba się starać, żeby się tego nie domyślił. Elementarna ludzka powinność nakazuje umilić mu tę resztę życia. I w tym liczę trochę na panią, Papriko. Skoro tak się zdarzyło, że pani mu się podoba, jakże bym pragnął, żeby przesłoniła pani sobą widmo, które go dręczy. Pragnę tego nie tylko jako przyjaciel, ale jako lekarz. Liczę na panią. Będzie go pani kochała z całego serca. Zapisuję mu panią w recepcie.

„Andromeda” podniosła kotwicę i z wolna wypłynęła na pełne morze. Goście Schomberga zgromadzeni byli w jadalni. Obiad dobiegał końca. Baerenz i hrabia Montrechamp rozprawiali o irygacji i o złej koniunkturze na trzcinę cukrową w Górnym Egipcie. Dafne, Lucynda i Schomberg mówili o ostatnim skandalu.

Ibrahim bej milczał. Myślał wciąż o pożegnaniu z Papriką i było mu jej żal. Brak mu było jej beztrioskiej wesołości, wdzięcznej postaci i naiwnej paplaniny. Z ciężkim sercem myślał o dalszych losach tego małego, miłego biedactwa, rzuconego na pastwę najgorszych ludzi i wydarzeń.

Ni stąd, ni zowąd Lucynda zagadnęła Schomberga:

- A propos, doktorze, ma pan jakieś wiadomości z Turcji? Czy znaleziono Ibrahima beja? Powstanie zupełnie zgniecione?

- Nie wiadomo, co się stało z Ibrahimem bejem. Z powstańcami zrobiono porządek. Trybunałowi udało się zdusić tę hydrę lerneńską, Komitet Siła i Jedność.

- Zatem Kemal triumfuje?

- Tak. Na szczęście dla Turcji.

- Uwielbiam takich pięknych dyktatorów! - wykrzyknęła Dafne.

- Kochana Dafne, od wodzów nie wymaga się, żeby byli piękni, tylko przewidujący. A Ghazi daleko mierzy...

Rozumiem dobrze uwielbienie, jakie dla niego żywią rodacy. Zbawił swój kraj. Całe życie poświęcił potędze swej ojczyzny.

- Zarzucają mu, że pije i lubi się zabawiać z kobietami - wtrącił hrabia Montrechamp.

- Możliwe... Ale może właśnie to, że bywa czasem człowiekiem jak każdy inny, zdobywa mu zaufanie. Któż inny mógłby marzyć o przedsięwzięciu takich radykalnych reform? Możliwe, że lubi wypić, ale też pracuje piętnaście godzin na dobę. Może i lubi kobiety - ale dziewięć miesięcy w roku potrafi spędzać w Angorze, co nie należy do przyjemności. Miał dość charakteru, by porzucić cudny Bosfor. Świeci przykładem maluczkim i w niczym nie przypomina polityków Zachodu, którzy w rządzeniu ludem szukają zaspokojenia miłości własnej albo materialnych korzyści.

Ukazał się steward. Schomberg powiedział mu coś po cichu, a po wyjściu chłopca, rzekł wesoło:

- Kochani państwo, na deser przygotowałem wam niespodziankę.

- Co? Co takiego? Jaką?

- Oto i ona.

Paprika wbiegła - wirująca i roztrzepana, jak wtedy w „Wenecji”. Powitało ją ogólne zdumienie, a potem szalone brawa. Śpiewała, grała, rozbawiła całe towarzystwo, wreszcie, na zaproszenie Schomberga, usiadła pomiędzy Ibrahimem a Lucyndą.

- Dzięki, doktorze Schomberg, za czarującą niespodziankę - rzekła pani Montrechamp. - Panna Paprika będzie słoneczkiem naszego statku.

- Och! Proszę pani!...

- Pani Don Kiszot, panno Papriko - zauważyła bystra jak zwykle Dafne - nudził się od chwili wyruszenia... Niechże pani spojrzysz teraz na niego. Oczy mu się śmieją... Chyba mu pani czegoś zadała!

Koniec obiadu minął niczym ognie bengalskie. Paprika promieniała. Zabawiała wdzięcznych słuchaczy własnymi wspomnieniami z music - hallów.

- Słuchajcie - mówił Schomberg - słuchajcie. Ona jest bajeczna z tymi swoimi historyjkami!

- Nie, doktorze! To tylko życie u nas bywa szalenie zabawne. Mówiłam, prawda, że mój papa był monterem od elektryczności w „Renesansie”? Papcio był też filarem Cafe des Tirailleurs. Pewnego dnia, kiedy siedział tam od godziny drugiej po południu przypatrując się grze w karty, pijąc wodę i żując zapałki, wstaje naraz koło godziny piątej i powiada do kelnera: „Hallo, Artur! Zatrzymaj dla mnie stolik, zaraz wracam, pójdę się tylko napić kawy w domu”. To był okaz, ten mój poczciwy papcio! Wyobrażacie sobie państwo, kiedyś, w tej samej Cafe des Tirailleurs, splunął na sam środek sali. Właściciel podchodzi do niego i mówi: „Panie Merinas, jakże tak można? Co by powiedzieli na przykład w Cafe du Zouave, naprzeciwnie, gdyby się pan zachował w ten sposób?” A on, proszę państwa, najspokojniej odpowiada: „Właśnie wczoraj zrobiłem w Cafe du Zouave to samo. Właściciel przyszedł wściekły i spytał: „Cóż to pan sobie wyobraża, że pan jest w Cafe des Tirailleurs?”

- A nie mówiłem, że panna Paprika to humorystka pierwszej klasy?!

W palarni grano w brydża. Ibrahim bej i Paprika stali na pokładzie wsparci o balustradę, patrząc w morze. Jacht sunął po spokojnym morzu. Niespodziewanie Paprika ujęła pod ramię swego towarzysza.

- Zrobiłam panu niespodziankę, co, mój piękny rycerzu?

- I stwierdziła pani naocznie, jaką mi to sprawiło radość... Ogromną! Wie pani o tym dobrze, maleńka... Słodka jest pani rączka pod moim ramieniem, a zapach twoich włosów

bardziej upojny, niż wszystkie wonności Arabii, miłe sercu Lady Macbeth.

- Czy to jeszcze jedna z tych tam?

- Nie. To pewna Szkotka, która zeszła na złą drogę.

- Ach, tak? Więc może nie będzie to panu całkiem obojętne, kiedy powiem, że ja, biedna, mała, głupia dziewczynka, wpadłam po uszy, ledwie pana zobaczyłam... „Moja droga - myślałam - wybij to sobie z głowy. Nie takie jak ty podobają się panom, co to jeżdżą po świecie luksusowym jachtem”.

- Dlaczegoż to?

- No pewnie. Dla pana są księżne, damy z wielkiego Świata. Takich jak ja nie bierze się na serio. To dobre na jedną noc... Kiedy się myśli o czymś innym, można sobie poskubać i trochę kwaśne winogrono. A potem fiuu - do widzenia...

Paprika nie dokończyła zdania. Nie zdążyła, bowiem Ibrahim bej raptem chwycił ją mocno i ucałował w usta. Z westchnieniem rozkoszy oddała mu pocałunek, samotny pocałunek pomiędzy niebem a wodą, pod przychylnym spojrzeniem milionów gwiazd. Całą duszą oddała się swemu pięknemu rycerzowi z „Wenecji”, szczęśliwa i dumna, upojona przygodą, o jakiej nawet nie śmiałyby marzyć, kiedy - umorusane dziecię rynsztoków - puszczała papierowe jachty na kałuże placu Tertre.

Nagle sylwetki Schomberga i kapitana Woodsa wyłoniły się z ciemności.

- No cóż? - zagadnął Schomberg. - Ani śladu morskich dolegliwości? Serce dopisuje?

- Ach, doktorze! Czy dopisuje?! Schomberg spojrział na Ibrahima beja i dodał:

- Liczę, mój drogi, że rozerwie pan naszą kochaną artystkę. Nie trzeba, żeby się nudziła na „Andromedzie”.

W przeddzień zawinięcia „Andromedy” do Neapolu, doktor Schomberg wszedł do kabiny Ibrahima beja.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Ale jutro o dziewiątej ujrzymy Castel d'Ovo i będzie pan mógł nareszcie rozstać się z „Andromedą”, skoro tak koniecznie sobie pan tego życzy. Przyrzekłem dostarczyć panu paszport; zdobyłem go w Aleksandrii. Syryjski paszport na nazwisko Jamil el - Khazen. Jak pan widzi, nie ma na tym Świecie rzeczy, której by się nie dało kupić za pieniądze.

- Wyjąwszy sumienie sprawiedliwych.

- Tak, ale ich nikt nie stara się nawet kupować, ponieważ jest na nich dużo łatwiejszy sposób niż na chciwych i sprzedajnych. Ale nie złotem się do nich trafia.

- Tylko czym?

- Sentymentami. Ale wracając do naszej sprawy... Widzi pan, że wypełniam swoje zobowiązania sumiennie. Przyrzekłem panu również, że uwolnię pana, kiedy pan zechce. Teraz, kiedy zainteresowanie dzienników przeniosło się z wypadków konstantynopolitańskich na konflikt rosyjsko - japoński w Charbinie - droga jest wolna. Może pan iść, dokąd się panu spodoba, razem z panną Papriką, która, o ile się nie mylę, ma również zamiar zejść na ląd w Neapolu. Życzę, żeby był pan z nią szczęśliwy. Proszę używać do syta życia, które ma pan jeszcze przed sobą. Every cloud is silver lined - mówi angielska piosenka. Każda chmurka srebrem jest podbita... Niechże ten bliski termin nie przeszkodzi panu wychylić ostatniej butelki żywota do dna. Moja żona bezlitośnie posłała pana na śmierć. A jednak pan ją może jeszcze dotąd kocha, a nienawidzi mnie, znieważonego męża. Dlaczego? Dlatego, że moja zemsta nie jest całkiem normalna? Większość europejskich trybunałów uznała, że zdradzony mąż ma prawo zabić uwodziciela żony. Ja przecież nie mam zamiaru pana zabijać, chyba że zmusi mnie do tego

pańska własna nieodpowiedzialność. Wystarczy mi słowo honoru, że zniknie pan w ciągu jedenastu miesięcy i czternastu dni. Sam będzie pan swoim sędzią i sam pan sobie wymierzy sprawiedliwość. Czyż to nie jest najbardziej rycerskie i zarazem najsprawiedliwsze wyjście z sytuacji?

Sądy Ibrahima beja o tym dziwnym człowieku przedstawiały zupełny chaos. Kimże był w głębi swej istoty ten uczony psychiatra, którego taką dziką uciechą napełniało dokonanie wyrafinowanej zemsty? Filozof, który się mści? Ależ filozofowie nie mszczą się nigdy. Jeśli jest prawdą, że filozof jest istotą żyjącą na czczo pośród pijanej ludzkości, Schomberg w niczym nie przypominał mędrca. A może chciał się upajać powolną męką swej ofiary, niby oszałamiającym napojem? Szatańska koncepcja oszukanego kochanka, czy też wytwór chorego umysłu szaleńca chcącego ukarać rywala tym przytłoczeniem szczęśliwością, o którym mówi Lamartine w Preludiach?

- Pan, doktorze Schomberg, wyznaje zasadę, że najłatwiej zdusić wroga w serdecznym uścisku? Nie myślę się, prawda?

- Ja panie, jestem przekonany, że jest pan człowiekiem honoru, to jest, że własne zobowiązania są dla pana czymś istotnym. Nie powiem panu nic więcej. Ale zdaje pan sobie sprawę, że usiłując umknąć przed tym długiem, jaki pan u mnie zaciągnął, postąpi pan jak żołnierz uciekający z pola bitwy.

- I jeszcze na dokładkę robi mi pan prezent z panny Papriki?

- To nie ja ją panu daję. Pan sam ją sobie zdobył. Gotowa jest kochać pana i uprzyjemniać panu życie. To czarujące, ogromnie dobre stworzenie, które ma mózgu mniej niż ptaszek, ale serce większe niż największy filantrop. Wyleczy pana z wszelkich kosmopolitycznych miłości.

- Nie zobaczymy się już nigdy, doktorze Schomberg?

- Nie. Aż do 5 czerwca 1929 roku.
- Do dnia mojego samobójstwa?
- Chcę być blisko pana tego dnia. Muszę mieć zupełną pewność.
- Przypuśćmy jednak, że nabiorę chęci do życia. Szczęśliwy kochanek nie pragnie zwykle umierać - chyba że w ramionach ukochanej.
- Och, mam nadzieję, że z każdym dniem będzie pan odnajdywał w życiu nowe wartości. W przeciwnym razie moje plany nic nie będą warte. Samobójstwo przynosi ulgę tylko ludziom nieszczęśliwym. Nie chcę więc, żeby pan był nieszczęśliwy. I jeżeli, mimo wszystko, będzie panu źle, będzie pan jak ów wschodni sybaryta, który czuł ziarenko grochu przez jedenaście materaców.
- A jeżeli nie znajdzie mnie pan nigdy w życiu?
- W takim razie będzie na panu ciążyła plama złamanego słowa honoru.
- Bywają zobowiązania niemoralne, których wypełnienie nikogo nie obowiązuje.
- Jeszcze bardziej niemoralne jest to, co pan uczynił odbierając mi miłość mojej żony.
- A gdybym panu zaproponował zwykły pojedynek?
- O, nie, to zbyt łatwe. Nie należy się panu ode mnie żadna satysfakcja. Przeciwnie, to pan jest mi ją winien. Ofiarowuję panu zakończenie dużo mniej sromotne niż szubienica czy tureckie kule. Jestem, musi pan przyznać mniej wymagający od mojej żony. Ale dość już o tym. Powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Jeżeli się pan zawaha owego dnia, dopomogę panu w tym, aby pańska deklaracja, podpisana w więzieniu, nie stała się martwą literą. Tymczasem wysiadzie pan w Neapolu razem z panną Paprika... Może pan zniknąć, gdzie pan zechce - ale niech pan nie buduje zbyt wiele na swym incognito, choćby

najgenialniej obmyślonym... Gdziekolwiek pan będzie, powtarzam jeszcze raz, odnajdę pana zawsze.

Następnego ranka przed oczyma dwojga kochanków, opartych o balustradę małego balkoniku hotelu Excelsior, roztoczyła się wspaniała panorama Zatoki Neapolitańskiej 'lśniacej tysiącem złocistych łusek na zielonym, pożyłkowanym tle morza. W ich zachwyconych spojrzeniach Neapol wyglądał niczym piękna kobieta w zakurzonych, połatanych łachmanach. Wszystkie charakterystyczne cechy miasteczka widoczne były od pierwszego rzutu oka: porozwieszana bielizna, strome uliczki, spaghetti.

Z wysokości swego balkonu widzieli całą Zatokę, Capri i Wezuwiusz, który dymił dyskretnie, jak przystało na dobrze wychowany wulkan, lękający się splamić olśniewająco czyste niebo czerwcowe.

- Najdroższy! - wybuchnęła śmiechem Paprika. - Jak to prześlicznie tak się całować pod okiem Wezuwiusza! Powiedz ty, że też on co noc nie wybucha, jak się tak napatrzy! Jak cudnie być tutaj, we dwoje, i przyglądać się Zatoce Neapolitańskiej... Nie myślałam, że ją zobaczę tak prędko... Wiesz, tam u nas, w teatrze, nieraz się mówiło, kto o czym najwięcej marzy. Jedne lubiły tylko perły, inne nie mogły się doczekać starości, kiedy to zamieszkają sobie na wsi i będą hodować króliki... A ja im zawsze mówiłam: „Chcę zwiedzać różne kraje, jeździć morzem, być na Wschodzie, poznać się z Murzynami, piec zwierzynę na słońcu pustyni”. Naturalnie, nie wszystko się spełniło, ale za to zyskałam coś więcej. I pomyśleć tylko, że ja, biedna, mała Paprika zrobiłam sobie wycieczkę luksusowym jachtem i znalazłam wielką miłość, wcieloną w tego pana w białej pidżamie, który mnie wziął sobie tej nocy i który mnie będzie miał całutką zawsze, zawsze, dopóki tylko zechce!

Gdy noc nadeszła, w zapomnienie poszedł znikający na horyzoncie jacht oraz doktor Schomberg, zamknięty w niedostępnym, własnym świecie czarnoksiężnik. Pas żółtych światełek oddzielał morską dal od srebrzystoliliowej śródziemnomorskiej nocy. I Wezuwiusz uczestniczył w powszechnej feerii świateł i barw, lśniących na czarnym tle lawy złocistym pasmem świateł.

Gdzieś na dalekiej wieży wybiła dziewiąta. Ktoś potracił struny mandoliny. Staroświecka, pocziwa melodia rozplynęła się po gładkiej powierzchni wody. Paprika, wtulona w Ibrahima niby ufna gazela pomiędzy łapy sytego lwa, szepnęła:

- Kochanie! Taka jestem szczęśliwa, że chciałabym umrzeć!

Rozdział 6

Od jedenastu miesięcy Ibrahim bej i Paprika rozkoszowali się sobą. Miłość, zrodzona w Neapolu, rosła na Capri i w San Remo, pławiąc się w złocistym słońcu

i rzeźwiąc wilgotnymi podmuchami śródziemnomorskiego wiatru. Paryska gwiazdeczka potrafiła wygnać z duszy kochanka wspomnienie Marewy. W szale nowej namiętności Ibrahim nie pamiętał nawet, że kiedykolwiek kochał tę dziwną kobietę i że cierpiał dla niej. Bowiem „żał wieczysty” to pojęcie, które odpowiada raczej płycie nagrobnej, niż ludzkiemu sercu.

Pierwsze listy Ibrahima do Marewy, pisane do Berlina, pozostały bez odpowiedzi. Lekkomyślna Georgijka nie zajmowała się już losem kochanka, którego zaprowadziła była na sam próg tureckiej kaźni.

O Schombergu w ciągu owych jedenastu miesięcy również nie było wieści. Ani razu jego nazwisko nie obito się o uszy Ibrahima beja. Tylko Paprika, wierna danemu słowu, zawiadamiała doktora o każdej zmianie pobytu. W zamian otrzymywała co miesiąc krótki list od niego, wypełniony troskliwymi pytaniami o zdrowie i samopoczucie przyjaciela. Wyrażał nadzieję, że jest w dalszym ciągu szczęśliwa. Polecał gorąco, żeby nie zdradziła się z niczym wobec chorego. Prosił, by starała się, ile w jej mocy, osładzać mu owe miesiące, być może, ostatecznie. I Paprika, darząca nieograniczonym zaufaniem człowieka, któremu zawdzięczała swe szczęście, ani jednym słowem nie zdradzała swych niepokojów ukochanemu.

Biedna, mała Paprika! Odrzuciła precz dawne rojenia o oklaskach i wielkich tourneés. Po raz pierwszy w życiu traktowała swą rolę poważnie. Bo teraz nie chodziło już o pracę w jakimś prowincjonalnym kabarecie ani o wyklócenie się z impresariem o taki czy inny szczegół. Chodziło o

osłodzenie policzonych dni ukochanego człowieka, który może nie wierzył nawet w straszliwe wyroki lekarzy.

Przez pierwsze trzy miesiące Ibrahim bej nie myślał o niczym prócz miłości. Do swego nowego status quo odnosił się z obojętnością automatu, którego czynnościami rządzi zewnętrzny mechanizm, i bez wahania wpisywał fałszywe nazwisko do ksiąg hotelowych.

Pewnego wieczoru w końcu września zszedł, czekając, aż się Paprika ubierze na obiad, do salonu hotelu nad brzegiem jeziora Como, tam bowiem przygnała ich ostatnia fantazja. Machinalnie przerzucił jakiś stary numer „Vogue”. Naraz zauważył swoją własną fotografię, uwieczniającą go jako zwycięzcę nicejskich konkursów hippicznych w chwili przyjmowania nagrody z rąk królowny szwedzkiej. To nagłe przypomnienie zerwało momentalnie nić wiążącą go z terażniejszością, jedynie i wyłącznie z chwilą obecną. Z mroku pamięci wyłonił się przed oczyma Ibrahima beja piękny Egipcjanin, ulubieniec łaskawych bogów, podobny do niego jak brat.

Byłże Jamil el - Khazen drugim wcieleniem Ibrahima beja? Jak wszyscy wykształceni Egipcjanie, i on zajmował się metempsychozą. Ongiś rozmyślał był wiele nad legendą o syjamskich mnichach i czterystu pięćdziesięciu wcieleniach Szurpanagueja. Kiedy miał lat czternaście, fascynowały go przeraźliwe losy hinduskiego króla Wieromarkana, który przyjął w swe ciało duszę zdrajcy szambelana, podczas gdy jego własna wcieliła się w papugę. Później porównywał pitagorejską koncepcję metempsychozy z metemsomatozą Orygenesusa i usiłował znaleźć odpowiedź na pytanie, czy transmigracja ciał jednych w drugie jest koncepcją prawdopodobniejszą? Jeszcze później uznał te dociekania za niepotrzebną stratę czasu. A jednak nie byłże on sam przedziwnym przykładem swego rodzaju metempsychozy?

Nie zmienił się wprawdzie w szakala czy sępa, ale bądź co bądź zmienił osobowość, stał się Jamilem el - Khazen - kimś obcym wobec jego własnego istnienia. Jamil el - Khazen miał sobowtóra, który znikł, ale którego ślady mógł odnaleźć w księgach hotelowych, sportowych sprawozdaniach, a może i w kilku wdzięcznych sercach? Ale on wystrzegał się powrotów do dawnych miejsc, bojąc się spotkać tam świadków swego umarłego życia.

Owego wieczoru, przyglądając się tej fotografii sprzed dwóch lat zaledwie, przeżywał własną Śmierć. Oto w masce na twarzy zjawił się na balu, który miał trwać rok. Bez maski i domina nie wolno mu było chodzić po Świecie. Gdyby przypadkiem mówił mu ktoś o Ibrahimie beju - wysłucha i pójdzie w swoją stronę. Gdyby któraś z dawnych jego ofiar snuła tuż przy nim wspomnienia jego pocałunków i uścisków sprzed lat - odszedłby w milczeniu, odwracając twarz. Nie przypadł mu w udziale szczęśliwy los króla Francji, który wykreślał z pamięci zniewagi, rzucając księciu Orleańskiemu. On musiał zapomnieć o wszystkim - zarówno o smutkach, jak o chwilach szczęścia - o wszystkim prócz owego mglistego ranka, kiedy to śpiewał ponurą pieśń pożegnalną szubienicom i katom tureckim.

Któregoś dnia portier hotelowy wręczył mu list. Był to czek na nazwisko el - Khazen, przysłany przez wtajemniczonego sługę z Kairu. Wierny, stary muzułmanin był jedynym człowiekiem, który wiedział, że syn paszy, jego dawnego pana, żyje. Punktualnie i sumiennie przysyłał Jamilowi el - Kahazenowi dochody Ibrahima beja, czekając cierpliwie chwili, kiedy jego młody pan wróci do normalnego trybu życia i własnej osobowości. O przejściach Ibrahima beja wiedział tylko tyle, ile mu doniósł on sam - nie miał więc pojęcia o tym, jaka była jego faktyczna sytuacja życiowa. W którymś z listów pisał: „Z radością donoszę panu - a i pan

pewnie ucieszy się tą wiadomością - że 850.000 funtów umieszczone przez pana ojca w akcjach Towarzystwa Rafinerii w Tantań będzie przynosiło, począwszy od roku 1929, 18% dochodu..."

Czytając ten list pod laurowymi drzewami na tarasie, Ibrahim bej poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Wsunął się głębiej w trzcinowy fotel i patrząc na obłoki, strzępiące się o ostre wierzchołki cyprysów na wzgórzu, wyszeptał: - „Począwszy od 1929 roku..."

Rzeczywistość, ta natrętna kurtyzana bez przerwy przypominająca o sobie roztargnionemu przechodniowi, położyła mu ciężką rękę na ramieniu. I oto zbudziła się stłumiona na chwilę męka. Straszliwe pytanie znów owładnęło jego umysłem. Wszystko, co już rozważył był bez zbytniego niepokoju na „Andromedzie", teraz zaczynało go gnębić bezlitośnie. Oto minęły cztery miesiące, mimo woli musiał wykonać w myśli tragiczne odejmowanie: Dwanaście mniej cztery równa się osiem... Zostało mu osiem miesięcy życia.

Ibrahim bej zawiózł Paprikę do Londynu. Ale zamiast stanąć u Ritza, jak to zwykł czynić dawniej, wynajął mieszkanie w ustronnym hotelu koło Holland Parku.

Każde miasto ma pewien swoisty zapach. Paryż na wiosnę pachnie ambrą królewską z odrobiną werweny i kadzidła. Londyn - wirgińskim tytoniem, palonym we wrzosowej faje-czce - i trochę różami. Berlin - świeżo rozkwitłym bzem owianym dymem cygar. Manchester pachnie zmokłym psem, Algier ma korzenną woń goździków, w Angorze czuć mdłe wschodnie słodczyce i kurz.

Paprika lubiła wałęsać się po Green Parku, nie wiedząc o tym, że George Moore przyrównywał go do symfonii Haydna, podczas gdy Wersal przypominał mu tragedię Radne'a. Lubiała także przyglądać się białym rękawiczkom policjantów, liczyć dźwięki dzwonów, wskakiwać w biegu do autobusów, dławic

się ośmi kipperów i pochłaniać, zamiast deseru, tosty z małymi kawałeczkami kalafiora obtoczonego w musztardzie. Pewnego popołudnia, kiedy powędrowała sama do jakiegoś kinematografu, Ibrahim bej, wałęsający się też bez celu po mieście, przysiadł na jednej z ławek na nabrzeżu Tamizy.

Sąsiadem Ibrahima na ławce był jakiś zaczytany biedak bez kołnierzyka, w wytartej, zielonawej kurcie i żołnierskich butach. Ibrahim, zaciekawiony, zagadnął go po turecku. Obcy człowiek podskoczył ze zdumienia. Przyjął ofiarowanego papierosa i przedstawił się: Izaak Nessim.

- Tak, tak - rozgadał się, nabrawszy zaufania do Ibrahima.
- Jestem ofiarą Komitetu Siła i Jedność... Głupi byłem, dałem się nabrać. Niby to mógł się naprawdę udać zamach na Ghaziego... No i co miałem z tego? Pół roku aresztu... Wypuścili mnie z braku dowodów. Ale bałem się, że mnie znowu capną, więc zaciągnąłem się na grecki statek wiozący oliwki do Londynu. Szukam teraz roboty...

- Dużo tam było egzekucji od czerwca 1928 roku?

- Nie. Najważniejszych powiesili już wcześniej. Ach, prawda, niedługo będzie rok od czasu, kiedy powiesili Abeddina beja, Herzena i Jussufa Georgijczyka... To był siłacz! Dwa razy stryczek trzasnął. Kata już zimny pot oblewał ze strachu... Jeszcze jedno trzaśnięcie, a byliby go ułaskawili... Temu się tak nie udało, jak Egipcjaninowi.

- Jakemu Egipcjaninowi?

- Zapomniałem nazwiska. Ale powiadam panu, cała Turcja się trzęsła, kiedy się dowiedzieli o jego ucieczce.

- Uciekł?

- Tak... Mówią, że żona jednego starego paszy, najpiękniejsza kobieta na wybrzeżu, uprosiła dyrektora więzienia, żeby pozwolił umknąć Egipcjaninowi. Podobno kochała go do szaleństwa.

- A Gheridze? Co się z nim stało?
- Który! Ten stary, co mieszkał w Taxim?
- Tak.

- O, ten miał niezwykajny koniec!
Ibrahim bej drgnął.

- Jak to koniec? - krzyknął.

- To pan nie wie, że on nie żyje? Po upadku rewolucji policja rządowa szukała Gheridzego. Naturalnie wydali go uwięzieni towarzysze. Tropią go w Pera. Stary przyczał się przez noc w łódce na azjatyckim brzegu, potem schronił się u rybaka. Zdradził go taki jeden, który miał go poprowadzić. Uciekł znów do Europy i próbował przekraść się do bułgarskiej granicy, przebrany za handlarza. Ale widać woli Bożej nikt nie oszuka, bo mu się bardzo w tej drodze nie wiodło i wreszcie, o trzysta metrów od granicy przyłapał go patrol. A był rozkaz ujęcia go żywym czy umarłym. Więc rozprawili się z nim na miejscu, bez ceregieli. Już go kończyli, kiedy zjawilo się dwóch ludzi od granicy - tajni delegaci Kominternu. Oskarżyli starego, że przez niego upadła rewolucja. No i co pan powie? Żeby im zrobić przyjemność, przywiązują go do drzewa akurat na samej granicy i umarł, biedak, rozstrzelany równocześnie z dwóch stron - przez bułgarskich komunistów i turecką straż graniczną. Temu to już się nie udało! Nikogo nie zadowolil swoim zamachem stanu.

Ibrahim bej ze ściśniętym sercem słuchał opowiadania, które budziło w nim tyle tragicznych wspomnień.

- Skąd to wiadomo? Z gazet stambulskich?

- Nie. Powiedział mi o tym dozorca więzienia, na kilka dni przed moim uwolnieniem. Gazety naturalnie wszystko przemilczały.

Ibrahim bej wstał. Wsunął funta w rękę człowieka w zielonawej kurcie i poszedł prosto przed siebie w kierunku Westminsteru. Nie pamiętał, gdzie jest, w jakim mieście, nie

myślał, że czas płynie i że jest późno. Dręczyła go jedna jedyna myśl: Ojciec Marewy nie żyje. A więc w tym tkwiła tajemnica milczenia Marewy... Bóg jeden wie, co się z nią działo po tym wszystkim.

Wsparty łokciami na parapecie, spoglądał niewidzącymi oczyma na metalicznie szarą Tamizę. Nieobecna, daleka Marewa opanowała go w tej chwili całkowicie. I czymże ona była właściwie w zielniku wspomnień miłosnych Ibrahima?

Pośród kwiatów zeschniętych, wyblakłych, bezimiennych - byłaby ona jedna kwiatem wiecznie żywym, którego barw i woni nie zdołał zniszczyć czas? Usta Ibrahima bezwiednie, półgłosem wymówiły jej imię. Jak tenor, wyprobowujący trudniejsze dźwięki przed występem, słuchał, jakim rezonansem ozwie się pamięć serdeczna. Wymawiając owe trzy sylaby, cierpiał. Ale sam nie zdawał sobie sprawy, czy to jest ostry ból utraty, czy tylko smutek po czymś, czego się już nie zobaczy, czego wypadałoby żałować...

Owego wieczoru wargi Papriki raz jeszcze zagłuszyły tik tak maleńkiego zegarka wysadzanego szafirami, na który niespokojnie spoglądała Marewa, kiedy samochód Kominternu unosił ją ku bułgarskiej granicy.

Rozdział 7

Mała wiewiórka goniła własny ogon na trawniku w Hyde Parku. Różowe baby, odbywające pierwszą lekcję jazdy na drewnianym wierzchowcu, ukazywały odwrotną stronę medalu z dumną nonszalancją przyszłych gwiazd brytyjskiego sportu. Nieco dalej długowłose baran przeżuwał trawę z pełną uwagi miną oksfordzkiego studenta.

Paprika, siedząc na żelaznym krzeselku nie opodal Marble Arch, odczytywała list, który odebrała właśnie na poczcie. Ze swego zamku w Orliku Schomberg pisał: „Droga panno Papriko! Wyjazd państwa do Londynu uczynił wyłom w ustalonym przeze mnie zwyczaju wysyłania listu do pani każdego pierwszego dnia w miesiącu. Mam nadzieję, że list ten zdąży dojść do rąk pani, zanim pani przyjaciel znów zmieni miejsce pobytu.

Zauważyłem, że od pewnego czasu podróże państwa stają się coraz częstsze. Gdyby nie dobroć pani i jej sumiennosc w wypełnianiu obietnicy, byłoby mi niezmiernie trudno śledzić stan naszego drogiego chorego. W ostatnim jednak liście zapomniała pani wyjaśnić mi kilka punktów, które interesują mnie jako przyjaciela i jako lekarza.

Ale najpierw niech mi będzie wolno wyrazić szczerzy podziw dla pani dyskrecji. Rzadko się zdarza kobieta w pani wieku, która potrafiłaby tak długo ukrywać coś przed człowiekiem, którego kocha. Przynosi to zaszczyt pani inteligencji. Ale przechodzę do samej rzeczy: Czy nie zauważyła pani w zachowaniu przyjaciela jakiejś zmiany, która by się uwidoczniła, w miarę jak zbliża się kres jego życia? Czy nie cierpi fizycznie, czy świadomość własnego stanu nie bardzo go dręczy, nie odbiera mu snu? Pani, taka bystra - czy nie sądzi pani, że chory usiłuje ukryć trwogę?

Chciałbym bardzo otrzymać na te pytania odpowiedź szczegółową. A poza tym - jak była przyczyna wyjazdu

państwa do Londynu? Po czteromiesięcznym pobycie we Włoszech tempo podróży wzrasta z zadziwiającą wprost szybkością. Arcachon... Maroko... Madera... wreszcie Wersal. Do dziś nie pojmuję, po co wynajmowaliście państwo tę olbrzymią, opuszczoną rudere w pustej alei. A teraz Londyn... Czy to od pani wychodzą projekty tej ciągłej zmiany dekoracji, czy też to on je pani narzuca?

Bardzo proszę o odpowiedź. Proszę też koniecznie donieść mi, w razie gdyby nasz przyjaciel radził się jakichś lekarzy w tajemnicy przed panią. Już pani to wypatrzy, prawda? A wtedy przyjadę natychmiast. Pani przecież wie, jak mi jego los leży na sercu..."

Paprika wyjęła z torebki arkusz papieru listowego i natychmiast napisała odpowiedź. Dziękowała doktorowi za troskliwość i oddanie okazywane jej przyjacielowi i przepraszała, że nie odpowiedziała wcześniej na pytania. Tłumaczyła, że kiedy ludzie się kochają, to lubią być ciągle razem - a zatem o sposobność do tajnej korespondencji nie jest tak łatwo.

„Zresztą Jamil nie bardzo przejmuje się chorobą. Cierpień fizycznych nie ma żadnych. Jeżeli istotnie cierpi duchowo, kryje to przede mną, pewno nie chce mnie niepokoić. Biedactwo kochane nie wie, że ja wiem o wszystkim. Jedyne, co mnie trochę niepokoi, to ta ciągła potrzeba zmiany miejsca. Zaledwie od sześciu dni jesteśmy w Londynie, a już dziś słyszałam, że chętnie odwiedziłby Rivierę”.

Na końcu zapytywała Schomberga, czy też istotnie nie ma nikogo, kto potrafiłby uratować jej Jamila - i zapewniała doktora, że przyśle mu natychmiast nowy adres, skoro staną na Jasnym Brzegu. Wreszcie zalepiła list i wróciła pieszo do hotelu.

Weszła do saloniku, ale nie zastała tam Ibrahima. Natomiast z sąsiedniego pokoju słychać było jego głos. Już

miała zapukać, kiedy powstrzymał ją jakiś obcy głos. Z ręką na klamce przystanąła nasłuchując.

- Spadłaby na mnie straszliwa odpowiedzialność, mój drogi - mówił obcy głos. - Pomyśl sam, jakże mogę wydać komuś taką truciznę - choćby nawet tobie - bez racjonalnego powodu?

Paprika skamieniała z przerażenia, nie wierząc własnym uszom. Przyłożyła ucho do drzwi.

- Fyzzee, mój stary - mówił Ibrahim - znamy się nie od dziś i możemy sobie przecież wzajemnie zaufać. Wiesz przecież, że nie po to proszę cię o cyjanek, żeby go użyć w złych celach. Bywają jednak sytuacje, w których posiadanie trucizny działającej niezawodnie i bez cierpień stanowi dużą pociechę.

- Czyżbyś ty już myślał kiedyś o samobójstwie?

- A dlaczegożby nie?

- Ty! „Ukochanie bogiń"! Ależ ty jesteś szalony! Wszystko się śmieje do ciebie: zaszczyty, bogactwo, miłość...

Nagle głosy przycichły. Słyszać było zaledwie szmer szeptu i szuranie przysuwanych do siebie krzesel. Paprika odsunęła się od drzwi. Palce jej zacisnęły się kurczowo na torebce. Stała pośrodku salonu niezdecydowana, śmiertelnie przerażona, walcząc pomiędzy pragnieniem wtargnięcia do pokoju Ibrahima a obawą rozgniewania go. Wreszcie wróciła na palcach do swego pokoju.

Siadła na brzegu łóżka, niemal nieprzytomna. Dławiło ją w gardle, ręce miała wilgotne od potu. Nic nie rozumiała. Chwilami zdawało się jej, że śni... A jednak - słyszała przecież to fatalne słowo. To nie było złudzenie.

Zerwała się. Chciała, musiała wiedzieć. Miłość do Ibrahima dawała jej przecież prawo wglądania w jego sprawy. Pewnym krokiem przeszła przez salon. Ale oto drzwi tamtego pokoju otworzyły się i stanął w nich mężczyzna o brunatnej

cerze, czarnych oczach i wydatnych ustach. Ibrahim, który wszedł za nim, zdawał się zaskoczony widokiem Papriki.

- Moja droga - odezwał się w końcu z przymusem - pozwól sobie przedstawić mego serdecznego przyjaciela. Doktor Fyzzee z Bombaju.

Lekarz skłonił się. Ibrahim odprowadził go do przedpokoju.

- Raz jeszcze dziękuję, przyjacielu. Zobaczymy się jeszcze przed moim wyjazdem, prawda?

Doktor Fyzzee wymamrotał kilka słów w jakimś gardłowym języku i wyszedł. Ibrahim odwrócił się. Paprika wpatrywała się w niego ze łzami w oczach. Podeszedł do niej i objął serdecznie.

- Co ci jest, kochanie maleńkie?

Nie odpowiedziała. Płakała cichutko na jego ramieniu. Ibrahim szukał w myśli przyczyny tej nagłej rozpacz.

- A więc tak, malutka? - wykrzyknął nagle ze śmiechem. - Niepokoi cię doktor Fyzzee? Ależ ty masz imaginację, moje dziecko! Wezwałem go bez twojej wiedzy, bo chciałem, żeby mnie zbadał ktoś mądry. Wiem, że się boisz o stan mojego serca, więc chciałem cię uspokoić, rozumiesz?

- Uspokoić mnie!

Pełne wyrzutu spojrzenie Papriki zwiększyło niepokój Ibrahima. Co właściwie ona wie, a co podejrzewa?

- Więc to dla mego spokoju prosiłeś tego lekarza o truciznę?

- Co takiego?

- Tak. Słyszałam z salonu fragment waszej rozmowy. Ten Hindus pytał cię, czy myślisz o samobójstwie. A ty odpowiedziałeś: „Dlaczegożby nie?”... Ach, mój najdroższy, błagam cię, nie grajmy ze sobą komedii! Nie kryj niczego przede mną... Jeżeli martwisz się swoim zdrowiem, będziemy cię leczyć... Będę cię pielęgnowała, jak małe, chore dziecko.

Ale przyrzeknij mi, że nie odejdiesz ode mnie, że nie weźmiesz tej ohydy, którą ci dał ten Fyzzee... Zabraniam ci, zabraniam, słyszysz?

Bardzo wzruszony, Ibrahim wpatrywał się w tę małą, płaczącą na jego ramieniu dziewczynkę. Paprika wylewała łzy, ponieważ zdawało jej się, że zrozumiała naraz grozę stanu Ibrahima. A Ibrahim, chcąc osuszyć jej łzy, udawał że wierzy w wyzdrowienie...

Wyzdrowienie! Ponura bufonada! Jedyne zbawienie było w ręku Schomberga.

Jedli obiad we dwoje w sali hotelowej, zimnej, cichej, wytwornej. Przy sąsiednim stoliku siedziało poważne, sztywne małżeństwo z Birmingham z szesnastoletnim podlotkiem w różowej taftowej sukience. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Nawet kelner, podając zupę, zapytał szeptem:

- Thick or clear?

Przy deserze Paprika, nie tknąwszy nawet różowej galaretki, której zgrabna kopułka wznosiła się na białym podkładzie z ryżu, uprosiła Ibrahima, żeby poszedł się położyć. Pożegnali się w przedpokoju. Mówili o rzeczach, które nie obchodziły żadnego z nich ani odrobinę. Każde z nich dręczyła jedna, uparta myśl, około której krążyli niby dziki zwierz krążący wokół potrzasku, który go niewytłumaczalnie jakąś siłą ku sobie pociąga.

- Idziemy spać, kochanie?

- Tak, ale muszę jeszcze zejść na dół na chwilę. Wyślę telegram do Agay. Chcę tam wynająć na miesiąc lub dwa bajeczny bungalow na czerwonych skałach, odosobniony, prześliczny. Proponowano mi go właśnie. Dom nad samym morzem, wśród sosen i tamaryszków. Do widzenia tymczasem, darling!

W godzinę później Paprika leżała w łóżku, zdenerwowana i niespokojna. Ibrahim nie wracał. Paprika, nie mogąc już zapanować nad sobą, zdjęła słuchawkę i zapytała portiera:

- Czy pan el - Khazen jest na dole?
- Nie, proszę pani. Wyszedł.
- Nie oddał telegramu?
- Owszem, proszę pani, dwa... Boy zaniósł je na pocztę.
- Dziękuję.

Miała na końcu języka pytanie: „Dlaczego dwa?”, ale nie chciała, żeby myślano, że kontroluje korespondencję Ibrahima. Minęło znowu pół godziny. Nareszcie Paprika usłyszała kroki w salonie. Ibrahim wracał! Zapukał. Ale w drzwiach, zamiast niego, Paprika ujrzała boya w czarnej liberii, podającego na tacy kwit urzędu telegraficznego. Wzięła kwit i odesłała pyzatego boya. Jakkolwiek znała zaledwie kilka angielskich stów, zrozumiała, że kwit wystawiono na dwa telegramy. Ze zdumieniem przeczytała adres: Pani Marewa Schomberg, c/o Kredit Bank, Berlin.

Paprika nie słyszała do tej pory o istnieniu kobiety, któraby nosiła to samo nazwisko, co lekarz z orlickiego zamku. Któż to był? Jego córka? Żona? Krewna? Po cóż Ibrahim wysyłał do niej telegram? Przez plecy Papriki przebiegł dreszcz nagłej trwogi. Bała się rzeczy nieznanych... Przypadkiem odkrywała w życiu kochanka tajemniczą dziedzinę, której istnienia nawet nie podejrzewała...

Odsunęła story i zaczęła patrzeć na ulicę.

- Co tam tak oglądasz, kochanie? - zabrzmiało naraz tuż za nią. To wrócił Ibrahim. Paprika popatrzyła na niego jak na kogoś obcego.

- Masz tutaj kwit od twojego telegramu. Boy przyniósł.
- Możesz go podrzeć.
- Spójrz najpierw.

Wzrok Papriki miał w sobie coś takiego, że Ibrahim spojrzał na kwit i drgnął.

- Kto to jest pani Schomberg, Jamilu?

- Żona doktora Schomberga.

- Nie było jej z wami na jachcie?

- Nie. Żyją w separacji.

- Ty ją znasz?

- Naturalnie. Znałem ich oboje. Cóż w tym dziwnego?

- Po co ten telegram, Jamilu?

- Rondolencje. Wyobraź sobie, że któregoś dnia, kiedy byłeś w kinematografie, spotkałem tureckiego emigranta, który mi powiedział o śmierci jej ojca, pana Gheridze. Nie wiedziałem, że umarł, chciałem więc jej posłać wyrazy sympatii i współczucia. Widzisz, jakie to proste.

- Tak... tak...

Paprika uspokoiła się trochę. Pieściła w rękach dłoni kochanka. Ale owego wieczoru beztroska nie tańczyła wokół nich swego zwykłego charlestona. Niepokój, uśpiony na chwilę pod wpływem rozmowy, miał się znów zbudzić tym ostrzejszy, tym bardziej dojmujący.

Rozdział 8

Ciepły wiatr kołysał wierzchołki sosen. Na powierzchni Morza Śródziemnego zaledwie gdzieniegdzie ukazywały się baranki. Ibrahim bej usnął nad ranem po nocy spędzonej w gorączce. Paprika, siedząc półnaga przy oknie, polerowała paznokcie. Nagle jej uwagę zwrócił zgrzyt hamulca samochodowego przed domem. Wyjrzała przez tonące w listowiu okno i zobaczyła przed drewnianą furtką długie torpedo z szoferem. Kobieta, która wysiadła z samochodu, przypatrywała się domowi. Z takiej odległości nie można jej się było dobrze przyjrzeć. Zdawała się wahać jak ktoś, kto nie jest pewien wskazanego adresu. Wreszcie otworzyła furtkę i weszła w aleję tamaryszków. Szła powoli i Paprika zdążyła dokładnie jej się przypatrzeć. Gość ów był jej zupełnie nieznany. Miała beżowy kostium i lekki płaszcz z rysim kołnierzem. Nogi smukłe i drobne w wykwinnych pantofelkach. Dyskretna elegancja bez zarzutu, Paprika zauważyła, że nieznajoma jest bardzo ładna. Ukryta za framugą okna, usiłowała przypomnieć sobie tę twarz. Może to jakaś koleżanka z teatru, która dowiedziała się przypadkiem o miejscu jej pobytu?

Zabrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych. Po chwili weszła służąca.

- Jakaś pani chce się widzieć z panem el - Khazenem.
- Jak się nazywa?
- Nie chciała powiedzieć.
- Tak? Proszę powiedzieć, że pan nie przyjmuje nieznajomych. Pokojówka znikła. Po chwili zapukała znowu. Wydawała się zakłopotana.
- Co tam znowu?
- Odpowiedziałam, jak pani kazała. Ale ta pani zapytała: „Kto to kazał tak powiedzieć? Pan el - Khazen czy jego sekretarz?” Odpowiedziałam, że pan nie ma sekretarza. A ona

pyta: „Więc któż, w takim razie, wydaje rozkazy, kiedy pan śpi?” Więc ja jej mówię, że panna Paprika! Ona na to: „Wobec tego pragnę pomówić z panną Paprika”.

Paprika wstała i chociaż umierała z ciekawości, zeszła na dół bez pośpiechu. Weszła do salonu i zastała tam tajemniczą damę stojącą na wprost półkolistej, oszklonej werandy pełnej kwiatów.

Usłyszawszy kroki, nieznajoma odwróciła się ku drzwiom.

- Czyżby to pani tak czuwała nad snem pana el - Khazena? - spytała z ironią w głosie, nie przestając wachać kwiatu, który trzymała w ręce.

Paprika już miała na końcu języka ostrą odpowiedź, ale przemogła się z trudem.

- Z kim mam zaszczyt? - odpowiedziała spokojnie. Nieznajoma zawahała się.

- Moje nazwisko zapewne nic pani nie powie. Mimo to przedstawię się: Marewa Schomberg... Witam.

Paprika powstrzymała okrzyk zdumienia.

- Istotnie, pani nazwisko nic mi nie mówi - odparła chłodno. - Można wiedzieć, czemu zawdzięczamy pani wizytę?

- Chciałam zobaczyć się z panem el - Khazenem.

- Panią łączą z nim bliższe stosunki?

- Och, taka sobie znajomość z podróży, nic więcej. Jestem tutaj przejazdem.

- Pan el - Khazen jest zmęczony. Powinien teraz wypocząć.

- Panienka zapewne jest jego nurse?

- Nie, proszę pani.

- A zatem powierzono pani wartę u jego drzwi? Sułtanowie mieli w tym celu janczarów zbrojnych w jatagany. Pan el - Kahzen uzbroił panią tylko w pidżamę... ale to broń równie niebezpieczna.

Paprika przypatrywała się nieznajomej damie z rosnącym zniecierpliwieniem. Była piękna, bardzo piękna. Mówiła po francusku z jakimś fascynującym akcentem. Z jasnych oczu bił blask, dumnie podniesione czoło zdawało się wyzywać cały świat. Paprika miała ochotę pokazać drzwi tej kobiecie, której imię prześladowało ją od tyłu dni. A równocześnie chciała się jak najwięcej dowiedzieć.

- Ja, proszę pani? - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Ja i niebezpieczeństwo! Toż to samo, co wciągnąć skórę tygrysa na grzbiet jagnięcia!

- Pan el - Khazen mieszka tu od dawna?

- Nie wiem, proszę pani.

- A jak długo myśli tu zostać?

- Nie wiem, proszę pani.

Marewa bawiła się trzymaną w rękę różą. Nie podobała jej się udawana skromność tej małej czarnulki w pidżamie. Gwałtownie zacisnęła pięść na delikatnych płatkach kwiatu.

- Zrozumiałam, moja panienko. No cóż, widzę, że dobrze pani broni pana el - Khazena przed najniewinniejszymi nawet wizytami. Nie nalegam zatem. Znajdę inny sposób powiadomienia go, że jestem w Cannes. Żegnam.

Pewnym krokiem Marewa przemierzyła salon i wyszła. Paprika słyszała jeszcze kroki w alei, potem trzaśnięcie furtki, hałas motoru - i wszystko ucichło. Paprika, zgnębiona, nie ruszała się z miejsca. Patrzyła na płatki róży, zmięte i rozsypane na dywanie. Była to róża, stargana przez Marewę, róża z bukietu, który dał jej wczoraj Ibrahim.

- Nie jesteś głodny, Jamilu? Nic ci nie dolega?

Jamil nie dokończył swego ananasa w maraskinowym sosie. Bo oto na brzegu stołu spostrzegł złożoną gazetę. Wpatrzył się w nią za złowrogim nateżeniem. Nie widział tytułu ani opaski. Widział tylko datę: poniedziałek, 29 maja... Jeszcze tydzień i będzie 5 czerwca... Koniec.

- Na co ty tak patrzysz, Jamilu?
- Na datę: 29 maja... To jeszcze siedem dni. Paprika uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.
- Jesteś bardzo miły, że o tym myślisz, ale to osiem dni. Nagle przywołany do rzeczywistości, Ibrahim drgnął.
- Osiem?
- Ależ tak, kochanie... Moje imieniny są szóstego... Nie jesteś mocny w rachunkach; skarbie!
- Oczywiście, kochanie - otrząsnął się jak z ciężkiego snu.
- Liczę jak baletnica. Za osiem dni, naturalnie. Myślałem właśnie o tym, chciałbym ci zrobić jakąś ładną niespodziankę... Ale wiesz co, najmiłszymi niespodziankami są te, które sobie człowiek sam wybierze. Powiedz, co by ci sprawiło największą przyjemność?
- Nie chcę niczego prócz twojej miłości.
Rozmowę przerwał im dzwonek telefonu. Paprika wstała.
- To pewno ogrodnik z St. Raphael... Miał telefonować o drugiej, mamy się umówić, jakie kwiaty zasadzić wzdłuż głównej alei.
- Oho! - roześmiał się Ibrahim. - Pani Paprika ma tajemnicze stosunki z mężczyznami.
Zdjęła słuchawkę i krzyknęła przeciągle:
- Hallo... Słucham!
- Panna Paprika? - zapytał kobiecy głos.
- Tak... Pani Gadeloux? Zakryła ręką słuchawkę i wyjaśniła:
- To pani Gadeloux, żona ogrodnika.
- Nie - odpowiedział głos. - Chciałam się tylko przekonać, czy od czasu mojej wizyty nie przerwała pani warty u drzwi pana el - Khazena. Do widzenia.
Głos umilkł. Paprika blada, bardzo zmieszana, spuściła oczy, napotkawszy wzrok Ibrahima. A on patrzył na nią, coraz

bardziej zaintrygowany, w miarę jak wzrastało jej zakłopotanie.

- Co to za dziwna rozmowa, Papriko? Cóż to znaczy? Była tu jakaś kobieta?

- Tak, wczoraj... Anna z nią rozmawiała.

- Kto to był?

- Nie wiem. Nie powiedziała nazwiska.

- Kiedy była?

- Jeszcze spałeś. Koło jedenastej. Pytała o ciebie. Odpowiedziałam przez Annę, że śpisz. Ona upierała się, żeby się z tobą zobaczyć. Powiedziałam jej więc sama, że to niemożliwe. „No to zatelefonuję któregoś dnia” - powiedziała. I poszła.

- I nie powiedziała, jak się nazywa? - Nie.

- A ciebie to nie zaciekało?

- Dlaczego? Wiem przecież, że nie masz ochoty odnawiać dawnych znajomości... Tak zawsze starałeś się ich unikać... Myślałem, że zrobię ci przyjemność, jeśli usunę z drogi tę jakąś gęś, która godzinami trajkotałaby ci nad uchem.

- Ta kobieta wyglądała na gęś?

- Och, jeszcze jak! Dosyć wysoka, tęga, żywe spojrzenie... W pierwszej chwili myślałam, że to jakaś dawna kompanka z teatru.

Ibrahim wstał, stanął w oszklonych drzwiach otwartych na morze i spoglądał w milczeniu na ogrom błękitnej wody, migoczącej w słońcu. Nagle odwrócił się:

- Upierała się, żeby mnie zobaczyć?

- Och! Troszeczkę!

- Tak troszeczkę, że teraz pyta, czy wciąż jeszcze trzymasz straż przed moimi drzwiami... Co ty przede mną ukrywasz, Papriko?

- Ależ nic...

- Jeżeli to robisz z zazdrości, to nie masz racji. Przypuśćmy, że ta pani, to „taka sobie gęś”, jak mówisz. W takim razie po co te tajemnice? Wiesz przecież dobrze, że nie zrobię jej tego zaszczytu, żeby myśleć o niej choć przez sekundę. A jeżeli to była...

Ibrahim urwał. Paprika utkwiała w nim niespokojne spojrzenie.

- Jeżeli to była?

- Jeżeli to była jakaś osoba z towarzystwa, ktoś z dawnych moich przyjaciół, to mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Nawet jeżeli nie raczyła się przedstawić?

- A jak ona o mnie pytała: O el - Khazena czy...

Umilkł, zanim mu się wyrwało fatalne nazwisko Ibrahim bej. Paprika jednak inaczej zrozumiała jego nagłe zawieszenie głosu.

- Czy o Januła?... Spodziewasz się więc wizyty kobiety, która ci mówi po imieniu?

- Nie spodziewam się żadnych wizyt. Przeciwnie, unikam ich. I właśnie dlatego, że nie chcę, by napastowali nas tu jacy natręci, chciałbym znać nazwisko tej pani. Interesuje mnie nie tyle jej osoba, ile jakim sposobem dowiedziała się, że tu jestem.

- Ależ, mój drogi, nie kryjemy się tu przecież jak trędowaci... Wszyscy wiedzą, że tę willę zajmuje pan el - Khazen.

- A jednak... Dlaczegoż tak jej zależało na tym, by dać mi znać, że tu jest?... Powiedziała ci, gdzie mieszka?

- Nie.

- Przyszła pieszo?

- Nie. Przyjechała torpeda z szoferem. Wystarczy?

Ibrahim wyszedł i błakał się pod sosnami, których strzępiaste korony odcinały się ciemnymi plamami na błękitnym niebie. Spokojne piękno śródziemnomorskiego

krajobrazu nie koło dziś jego rozstrojonych nerwów. Zawsze dotąd ufał Paprice. Ale tym razem miał mgliste przeczucie, że go skrzywdziła i oszukała.

Przez całą noc nie przestawał się dręczyć tragicznym problemem, który musiał rozstrzygnąć natychmiast. Działać - czy też zdać się na łaskę losu? Był jeszcze czas, można jeszcze uciec. Nie miał żadnego obowiązku oczekiwać na Schomberga z rezygnacją kury przeznaczoną na zarznięcie. Wystarczyłoby spakować walizy, wsiąść do pociągu i puścić się z Marsylii na Daleki Wschód albo z Bordeaux do Ameryki. Schomberg namęczyłby się niemało, nim by go odnalazł osiedlonego pod innym nazwiskiem gdzieś w Santiago lub Chile, w Kambodży czy na Filipinach. Ale im dłużej zastanawiał się nad możliwością ucieczki, tym większą czuł dla takiego postępu pogardę. Jeśli się strącało samoloty w czasie wojny, nie ucieka się przed rewolwerem męża kochanki. Zwłaszcza teraz, kiedy się dowiedział o wczorajszej wizycie, nic go nie zmusi do opuszczenia Agay. Ciekawość przemogła wszystko. Kim mogła być ta kobieta, która usiłowała dotrzeć do niego mimo obecności rywalki broniącej jej wstępu? Musiał, musiał się tego dowiedzieć. Marewa. To imię błąkało mu się po myślach, powracało ciągle, uparcie. Pragnął, żeby to była ona, a równocześnie bał się tego. Pisał do niej z Londynu - ale cóż z tego? Przecież w ciągu ostatniego roku pisał do niej pięć czy sześć razy - i nigdy nie dostał słowa odpowiedzi. Listów mu nie zwrócono, a zatem musiały dochodzić do jej rąk... Nie raczyła odpowiedzieć nigdy. Jakież więc nagły kaprys kazałby jej przyjechać tutaj? I dlaczego go nie uprzedziła? Dlaczego nie wezwała go do siebie? Jeżeli istotnie była w pobliżu, czemu miałyby się z tym kryć? Na pewno nie ze strachu.

Ibrahim wracał z Agay. Szedł wzdłuż morza liżącego poszarpany brzeg języczkami błękitu. Szedł powoli,

pograżony w rozmyślaniach. Koło wsi minął go kondukt. Dwóch wieśniaków o ogorzałych twarzach niosło trumnę na potężnych ramionach. Przed trumną szedł ksiądz i dwóch chłopców ministrantów. Za trumną czarno ubrani ludzie. Żałobny kondukt, tonący w blaskach olśniewającego słońca, podążał ku maleńkiemu cmentarzykowi, którego białe płyty nagrobne widoczne były z daleka na czerwonym tle ziemi.

Ibrahim myślał o śmierci. Oto może za parę dni zanoszą i jego na ten mały, wiejski cmentarzyk. Jego, na którego czekało miejsce we wspaniałym mauzoleum Ibrahimów. Duch muzułmanina wychowanego po chrześcijańsku będzie się błakał wieczyście pomiędzy krzyżem a półksiężycem.

Za sześć dni, o północy, upływa termin jego ziemskiego pobytu. I oto Jamil el - Khazen, imaginacyjny przedstawiciel Republiki Francuskiej w Syrii, złoży dokumenty Charonowi, skrupulatnemu urzędnikowi Piekła, gdzie prawdopodobnie w rozgrzanej do czerwoności garsonierze spotkają się wszyscy mężczyźni pomiatający honorem zdradzonych mężów.

Za sześć dni Jamil el - Khazen umrze - o ile nie zabije przedtem swego wroga. Jeżeli umrze - będzie go opłakiwała panna Paprika z Concert Mayol i może jeszcze pożaluje go pani Marewa Schomberg, o ile w ogóle usłyszy kiedyś o jego smutnym końcu. Miss Dafne Costello przyjmie pewnie tę wiadomość z chwilowym dreszczykiem grozy, a stary intendent z Kairu będzie się modlił za niego, ilekroć głos muezzina wezwie go do służby Proroka.

A słońce będzie świeciło tak samo jak dzisiaj. Jakże upokarzająca jest świadomość, że ziemia nie pokryje się popiołem ani nie ściemnieją fale morza, że ani jeden kwiat w ogrodzie nie zwiędnie dla uczczenia jego pamięci. Życie pójdzie naprzód tym samym krokiem. Śmierć - czy to będzie śmierć świętego czy bandyty, dyktatora czy włóczęgi,

uczonego czy analfabety - ani na jedną sekundę nie zatrzyma jego biegu.

Na zakręcie drogi ukazała się Paprika, która wyszła na spotkanie kochanka. Przybiegła do niego zdyszana i rzuciła się w jego ramiona.

- Taka byłam niespokojna! Bardzo długo cię nie było, najdroższy.

- Szedłem powoli... Dopiero co minąłem pogrzeb.

- Stuknąłeś w drzewo, kochanie?

- Nie, trumna była zbyt daleko.

- Nie żartuj w ten sposób, Jamilu!

- Mędrzec drwi sobie ze śmierci, Papriko. Musi być zawsze gotów umrzeć w ciągu sześciu dni, sześciu tygodni czy sześciu lat.

- Ty, dzięki Bogu, masz jeszcze czas myśleć o tym.

- Pomyśl tylko, kochanie maleńkie. Przypuśćmy, że umrę na przykład w przyszły poniedziałek...

- Zabraniam ci...

- Zaczekaj, dziecko. A więc przypuśćmy, że umrę w poniedziałek. Czyż saksofony w kasynach przestaną miauczeć po nocach? Czy przestaną się jedni kochać, a inni upijać? Trzeba się napatrzyć na śmierć, aby zrozumieć, jakie mizerne miejsce zajmuje się na tym świecie. Dwie małe wzmianki w rozmowie przyjaciół; parę przelotnych łez „bliskich” wzruszonych myślą o ewentualnej własnej śmierci; ból, może ostry ale krótkotrwały, tych, które nas niegdyś kochały. A potem przychodzi zapomnienie, ten wspólny dół, w którym wszystko, co żyło, przemienia się w jeden proch - i tylko proch...

Ibrahim mówił wolno, wpatrzony w morze. Doznawał jakiejś okrutnej rozkoszy, kiedy tak mówił o ponurych sprawach śmierci wobec tego triumfu życia.

- Posłuchaj, maleńka - ciągnął dalej. - Nie czytałaś tego, ale pewnie słyszałaś o Bossuecie. Mówią, że wycisnął łzy z oczu wszystkich obecnych mową pogrzebową na cześć Henryki Anny, Księżnej Orleańskiej - mową osnutą wokół słów: Vanitas vanitatum et omnia vanitas. „Marność nad marnościami i wszystko marność”. Myślę, że gdybym ja - a raczej jakiś mój sobowtór - deklamował moją mowę pogrzebową na Promenade des Anglais i oznajmił wszem i wobec: „Moje ja umiera!... Moje ja umarło!” - zwróciłbym uwagę najwyżej na pięć minut. I tak samo jak dworzanie królewscy myśleli już o czym innym, wychodząc z kazania Bossueta, piękne panie na plaży w mig zaczęłyby myśleć o słonecznej kuracji albo o nowym systemie w ruletce.

O świcie Paprika, leżąc z szeroko otwartymi oczyma, wchłaniała w płuca wonne podmuchy płynące z ogrodu przez szeroko otwarte okno. Leżała bez ruchu, lękając się zbudzić Ibrahima, który silnym ramieniem obejmował ją przez sen za szyję.

Nagle Śpiący poruszył się gwałtownie i poderwał się z pościeli.

- Marewa!... Marewa! - wyjęczał głosem, który Paprika z trudem poznała.

Chwycił dziewczynę za ramię i nagle w jego oczach odbiło się zdumienie, jakby nie ją spodziewał się zobaczyć przy sobie.

- Co się stało, kochanie? Zbudziłaś mnie?

Paprika odsunęła się instynktownie, jakby w obawie przed zetknięciem się z nim.

- Nie - odpowiedziała. - To tylko ty krzyczałeś przez sen.

- Doprawdy?... Nic nie pamiętam.

- Wołałeś kogoś!

- Kogo?

- Marewę.

Ibrahim wzdrygnął się. Pojął, że Paprika mówi prawdę. Patrzył, jak wstaje i siada na kanapce przy oknie. W różowawym świetle zorzy widać było jej rysy zmienione cierpieniem. Siedziała, wsparłszy o okno nagie ramię. Poranny wietrzyk poruszał jej ciemnymi lokami. Ciężkie powieki z trudem powstrzymywały łzy.

- Nawet we śnie nie opuszcza cię wspomnienie tej kobiety
- wyszeptała z nieopisanym smutkiem.

Ibrahim wstał również. W skroniach czuł mróz, ręce go paliły. Podszedł do Papriki i ukląkł u jej kolan. Siłą wziął jej rękę w swoje.

- Posłuchaj mnie - powiedział. - Kłamstwo... komedia... oszukiwanie serca i mózgu... To wszystko trzeba odrzucić, kiedy nadchodzi chwila decydująca. Tobie, za twoją miłość i bezgraniczne poświęcenie, winien jestem całą prawdę... Nie wiem, co Schomberg mówił ci o mnie... Przypuszczam, że usiłował cię najpierw wzruszyć, wzbudzając w tobie współczucie dla mojej choroby. Tak samo postąpił przedtem z tymi paniami z „Andromedy”... W każdym razie musiał skłamać... Nie grozi mi ani rak, ani atak serca, Papriko... Nie lekarze skazali mnie na śmierć, ale jeden jedyny lekarz, mściwy mąż, który zmusił mnie do samobójstwa za to, że mu zabrał żonę... Rozumiesz?

Paprika patrzyła na klęczącego Ibrahima z bezgranicznym zdumieniem. Wydał jej się kimś innym, zupełnie nowym, kto jakimś niewytłumaczalnym cudem wyrósł nagle przed nią.

- Schomberg... ciebie... skazał... na śmierć?... - wyjąkała w końcu. I doczekała się nareszcie zupełnej, do najgłębszego dna sięgającej spowiedzi.

Przez rok cały gromadzone kłamstwa rozwiewały się wraz z ustępującym mrokiem nocy. Paprika słuchała, targana najprzeróżniejszymi uczuciami: zdumieniem, bólem, trwogą

przed jutrem i żalem za minionymi bezpowrotnie promiennymi dniami.

- Rozumiesz mnie teraz, rozumiesz, maleństwo najdroższe?... W najbliższy poniedziałek, piątego czerwca, trzeba będzie uczynić zadość zobowiązaniu...

Ibrahim wyciągnął się na łóżku. Zmęczyły go te długie wynurzenia. Wiedział, że dobrze uczynił, mówiąc o wszystkim Paprice, ale równocześnie ciężko mu było na sercu na myśl o tym, że zranił boleśnie to słodkie dziewczę, które było uosobieniem tkliwości i oddania.

Wokół nich obojga krążył niewidzialny, nieuchwytny, obojętny na wszystko cień Marewy. Cień ten wcisnął się był między nich owego wieczoru, kiedy to Paprice wpadł w ręce kwit telegraficzny, i teraz siał niepokój w sercu kobiety, a pragnienie w ciele mężczyzny. Jeśli nawet ów cień bezlitosny dał im kiedy dzień jeden spoczynku, to po to, by potem jeszcze mocniej, jeszcze boleśniej schwytać ich w swe aksamitne szpony. I owego cudnego ranka widmo Marewy przesłoniło im obojgu słońce.

Rozdział 9

Paprika weszła do hallu hotelu Carlton w Cannes. Przerzuciwszy listę gości, znalazła nazwisko, którego szukała.

- Czy pani Schomberg jest u siebie? - zapytała portiera. - Kogo mam oznajmić, proszę pani?

- Zechce pan oddać list... Czekam na odpowiedź.

Boy pobiegł z kopertą. Paprika zagłębiła się w fotelu i czekała z sercem ściśniętym uczuciem niepewności.

Czekając przebiegła myślą wypadki ostatnich dwudziestu czterech godzin... Otrzymała telegram. „Stroskany stanem zdrowia naszego przyjaciela - depeszował Schomberg - przyjeżdżam Riviera niedziela 4 czerwca. Nie niepokoić Jamila". Wsunęła ten telegram do torebki i wahała się, czy uprzedzić Ibrahima. W końcu uznała, że przybycie Schomberga jest rzeczą zbyt ważną, żeby miała prawo ją ukrywać. Ibrahim, wysłuchawszy nowiny, usiłował żartować:

- No widzisz! Wiedziałem dobrze, kochanie, że wilk zacznie krążyć zawczasu, czekając na ucztę.

Dopiero podczas śniadania, które minęło wśród wymuszonej rozmowy przeplatanej chwilami ponurego milczenia, powzięła nagłą decyzję. Zmyśliwszy naprędce jakąś konieczną sprawę w Cannes, Paprika wskoczyła do auta. Odnaleźć adres nieznajomej nie było trudno. Okazało się, że mieszka w hotelu Carlton. I oto w pięć minut po otrzymaniu tej wiadomości Paprika siedziała w hotelowym hallu.

Było wpół do dziesiątej. Goście kąpielowi ściągali z plaży na herbatę. Jakiś sportsmen w kostiumie do golfa, w czerwonych butach i z monoklem w oku krążył wokół Papriki, usiłując dać do zrozumienia, że ma jej do zaproponowania kosz róż, przejażdżkę rolls roycem, obiad w Monte Carlo, dwa tygodnie miłości, czek na tysiąc dolarów i w końcu wieczyste rozstanie na peronie.

Ale Paprika nie widziała ani bogatego sportsmena, ani czarującego fordansera, który wpatrywał się w nią płomiennymi oczyma, szepcząc o kolacji we dwoje i innych jeszcze, równie oszałamiających perspektywach.

Boy wrócił z wiadomością, że pani prosi. Poszła za nim do windy, do przedpokoju, i zapukała do drzwi salonu.

- Proszę wejść!

Zawahała się sekundę - i weszła.

Marewa Schomberg, gotowa do wyjścia, siedziała przed lustrem w białym filcowym kapeluszu i pudrowała twarz ogromnym puszką. Odwróciła się nieznacznie i puszką wskazała gościowi fotel niedaleko lustra.

- Proszę, niech pani siądzie. Przysłała mi pani bilecik z prośbą o widzenie? Muszę przyznać, że mnie to trochę zdziwiło. Ale nie chcę, żeby się pani fatygowała na próżno, więc proszę, słucham. Tylko prędko, o ile możliwości; mam rendez-vous o szóstej.

Paprika usiadła.

- To, co chcę pani powiedzieć, warte jest może pięciu minut spóźnienia.

- Przede wszystkim, któż tu panią przysłał? Ibrahim?

- Nie, pani... Ibrahim nie wie, że tu jestem. Przyszłam sama, bo chcę z panią pomówić jak kobieta z kobietą... Rozumie pani?

Marewa odłożyła puszek i podnosiła właśnie do ust czerwoną kredkę. Nie dotknęła nią jednak wargi; popatrzyła na Paprikę nieco drwiąco.

- Ach, tak? Już groźby? Tak od razu? No, no, jak widzę, nie traci pani czasu na niepotrzebne wstępy.

- Gdzież to pani widzi te groźby?

- Ton pani...

- Mój ton jest taki, jaki przystoi poważnym sprawom... Nie przychodzę pani napastować. Chcę panią prosić o łaskę...

Niech pani posłucha: Chodzi o życie mojego kochanka... Życie pani dawnego kochanka... Powtarzam, że to bardzo poważne... bardzo poważne...

Marewę najwidoczniej zaintrygował spokój gościa. Spodziewała się wybuchu, gwałtownych słów, sceny zazdrości.

Umiarkowanie i opanowanie Papriki imponowało jej. Gwałtownym ruchem zdjęła biały kapelusz i rzuciła za siebie na łóżko.

- Mówi pani, że w grę wchodzi życie Ibrahima? A więc ta sprawa z moim mężem jeszcze nie została zakończona?

- Nie, proszę pani. Pani prawdopodobnie nie wie, że...

- Przepraszam! Wiem, że Schomberg dopomógł ongiś Ibrahimowi uciec z więzienia w Stambule... Ibrahim sam mi to opowiadał w listach, które zastałam w Berlinie po powrocie z długiej podróży na Daleki Wschód... Ale nie przypuszczałam, że ta historia z samobójstwem jest jeszcze aktualna...

- Jest bardziej tragiczna, niż kiedykolwiek, bo Ibrahim przyrzekł zabić się piątego czerwca, a mąż pani przyjedzie tu czwartego, dopilnować wszystkiego.

Marewa wzdrygnęła się.

- Schomberg ma przyjechać? Skąd pani o tym wie?

- Telegrafował do mnie.

Marewa wstała. Zapaliła papierosa, aby opanować wzburzenie, i przez chwilę wpatrywała się w jego rozżarzony koniec. Chodząc tam i z powrotem po pokoju, zatrzymała się nagle tuż przed Paprika.

- Jakże to się dzieje - zapytała - że pani, kochanka Ibrahima, otrzymuje telegramy od Schomberga? Kogóż pani właściwie zdradza?

- Nikogo. Jestem po prostu ofiarą okrucieństwa pani męża... Byłam narzędziem w jego ręku. Jak idiotka donosiłam mu przez cały rok o wszystkim, co się z nami działo...

Rozumie pani?... Ten potworny lekarz oszukał mnie zmyśloną chorobą, nieuleczalną wadą serca... A ja go słuchałam, głupia, bo ja słucham każdego, kto mnie wzruszy...

Paprika w paru słowach opowiedziała historię ich poznania w Aleksandrii. Marewa słuchała w napięciu.

- Oto cała prawda - zakończyła Paprika. - Mówię pani to wszystko, bo nie mamy czasu do stracenia... Mąż pani umiał wzruszyć mnie losem Ibrahima. Pokochałem go i kochałam później coraz bardziej - a teraz, odkąd wiem, jakie niebezpieczeństwo mu grozi, nie mogę, nie mogę zaznać chwili spokoju!

- Widzę, widzę... Schomberg zawiadomił panią o przyjeździe, bo nie domyśla się, że Ibrahim powiedział pani prawdę... Istotnie, postąpił nierozważnie... Dał pani kochankowi czas do ucieczki.

- Co też pani mówi! On miałby uciec? Och, doprawdy, bardzo mało go pani zna, jeżeli pani przypuszcza, że mógłby uciec przed wrogiem. Ibrahim nie należy do tych, którzy się cofają przed kimkolwiek.

- Nieźle go pani broni, panno Papriko.

- Mówmy szczerze: kocham Ibrahima. Pani też go kochała... Może nawet i teraz nie jest pani zupełnie obojętny... Starajmy się więc ratować go wspólnymi siłami. Ja gotowa jestem wszystko poświęcić, o wszystkim zapomnieć, byle tylko móc go uratować... Tak, pani Schomberg... Macham ręką na moją miłość własną, depczę po zazdrości, z góry przyjmuję wszelkie cierpienia, gotowa jestem na wszystko... oby to tylko przydało się na co!

Papieros Marewy dopalił się. Zapaliła następnego, siadła naprzeciw Papriki i jęła jej się przyglądać badawczo. Stanowczość i pewność siebie tej małej czarnulki wyrażającej się dość pospolicie, ale posiadającej najwidoczniej niepospolitą duszę, przejmowała ją pewnym szacunkiem.

- Jednym słowem, panno Papriko, pani bardzo kocha mojego przyjaciela?

- Pani dawnego przyjaciela?... Tak.

- Mam prawo mówić: mój przyjaciel, bo pani żyła z nim rok, a ja trzy lata... Może się pani z tym zgodzić lub nie - ale twierdzę, że znam go jeszcze lepiej niż pani, i kiedy przed chwilą wyraziłam przypuszczenie, że ucieknie, chciałam tylko przekonać się, czy rzeczywiście pani go zna. Znam dobrze odwagę Ibrahima, wiem, że nigdy nie dopuściłby do tego, by Schomberg mógł z satysfakcją powiedzieć: Oto mój rywal przestraszył się mnie.

- Jeżeli więc tak jest, jeżeli on jest jeszcze czymś dla pani, niech mi pani pomoże... Niech nam pani pomoże!... Po to przysłałam tu do pani. Tylko po to...

Marewa przysunęła się bliżej z fotelem. Pochyliła się naprzód i rzekła półgłosem, chcąc nadać więcej wagi swym słowom:

- Powiedziała pani przed chwilą, że może Ibrahim nie jest mi zupełnie obojętny?... Nie powiedziała pani całej prawdy. Kocham Ibrahima i los jego żywiej mnie obchodzi, niż to pani przypuszcza. Proszę mi nie przerywać. Chciała pani sama pomówić ze mną szczerze.. Pani otworzyła przede mną serce, teraz moja kolej... Prawdą jest, że zniknęłam rok temu i nie troszczyłam się o nic, co się dzieje w Europie. Ale kiedy dowie się pani, że wtedy właśnie zginął mój ukochany ojciec, zadenuncjowany przed policją turecką przez dawnych swych sprzymierzeńców z Kominternu, i że musiałam jechać aż na granice Mongolii, aby odnaleźć winnego owej zbrodni - zrozumie pani, że nie mogło być inaczej. Mniej więcej dwa tygodnie temu wróciłam do Berlina. Z listów i telegramów od Ibrahima, które tam zastałam, dowiedziałam się o wypadkach z ubiegłego roku. W ostatniej depeszy, wysłanej z Londynu, podał mi adres w Agay... Bezzwłocznie wsiadłam do pociągu

Berlin - Wiedeń - Cannes i chciałam sprawić Ibrahimowi niespodziankę swym przyjazdem... Ale w willi na czerwonych skałach przyjęła mnie ta, która zastąpiła mnie przy nim...

- Słucham dalej, proszę pani.

- Dalej? Wróciłam i rozważałam sytuację. Byłam pewna, że żadne niebezpieczeństwo nie zagraża już Ibrahimowi, inaczej nikt nie zamykałby przede mną jego drzwi. Przez cały ten czas myślałam o nim... Tylko o nim. Kobieta, która po roku niewidzenia i po takich przejściach spotyka człowieka, którego kochała i kocha nadal - i widzi go niespodziewanie pocieszonego, najzupełniej pocieszonego przez inną - musi się czuć trochę wytrącona z równowagi. Usiłowałam odgadnąć, kim właściwie pani dla niego jest. Bratnią duszą? Zabawką dla zabicia czasu? Opiekunką? Dzień w dzień pisałam listy i paliłam je zamiast wysłać do Ibrahima. Wczoraj podjechałam autem o pięćset metrów od willi... Namyslałam się długo - a potem wróciłam do Cannes. Nie chciałam, żeby moje pierwsze z nim spotkanie pociągnęło za sobą jakieś gwałtowne sceny z panią. Szukałam właśnie w myśli innego sposobu, kiedy pani przyszła. A teraz, panno Papriko, skoro już poznałyśmy się bliżej, skoro widzi pani, że traktuję ją jak lojalną przeciwniczkę, proszę mi powiedzieć, czego się pani po mnie spodziewa.

- Trzeba, żeby pani znalazła jakiś sposób ocalenia go, bez jego wiedzy. On nie domyśla się wcale pani obecności w Cannes... Powiedziałam mu, że nie wiem, kim była kobieta, która przyszła kiedyś do willi.

- Naprawdę nie wie? Jest pani tego pewna?

- Tak.

- A zatem niech pani to przed nim ukrywa w dalszym ciągu. Tak będzie lepiej.

- Ale co pani zrobi?

Marewa wstała. Chwilę spoglądała na zapadający za oknem zmrok. Nagle odwróciła się.

- Jest tylko jeden sposób ocalenia go. Spróbuję tego sposobu w poniedziałek... Do tego czasu, liczę na panią, Ibrahim nie może się dowiedzieć, że jestem w Cannes; zresztą jutro już mnie tu nie będzie. Zniknę dla wszystkich prócz pani... Schomberg, mówi pani, przyjeżdża czwartego? Na pewno będzie chciał zobaczyć się przede wszystkim z panią. Kiedy tylko dowie się pani, gdzie mieszka, proszę mnie zawiadomić, o ile możliwości jak najprędzej. Reszta należy do mnie.

- Ach! Gdyby pani mogła... gdyby się pani udało...

- Chwileczkę, panno Papriko. Jeszcze nie skończyłam. Czy pani może wyobrazić sobie, że dokonam tego wszystkiego dla pani pięknych oczu?

Nowa fala trwogi ścisnęła serce Papriki.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Powiedziałam, że traktuję panią, jak lojalną przeciwniczkę i nie cofam tego. Moja interwencja, być może, osiągnie pożądany skutek. Lecz wtedy zażądam rekompensaty.

- Jakiej?

- Jednej nocy z Ibrahimem... Moje warunki są jasne, nieprawdaż, panno Papriko? Zresztą, co pani ryzykuje? Albo Ibrahim zachowa niezmiennie uczucia dla pani, a w takim razie moja noc miłości będzie nocą żałoby po straconych złudzeniach. Albo też wybierze dawną kochankę - a w takim razie przyjdzie pani podumać nad zmiennością ludzkich uczuć... Gdyby zaś, mimo wszelkich naszych usiłowań, zginął tragicznie w tej przygodzie, no cóż, nie będzie za dużo dwóch kobiet do opłakiwania człowieka honoru, nieugiętego charakteru i wielkiego serca.

Słowa Marewy brzmiały okrutnie i twardo, niczym nieodwołalny wyrok. Na Paprikę podziały one jak uderzenie biczem przez twarz. Z bijącym sercem i zaciśniętymi dłońmi patrzyła na Marewę wzrokiem pełnym nienawiści. Ale na dnie tego kielicha goryczy, który jej podała Georgijka, czaiła się i odrobina nadziei. Wiedziała dobrze, że jedynie Marewa miała cień możliwości ocalenia Ibrahima. Okrutny los, który sprawił, że ta jedyna nadzieja była właśnie w rękach Marewy Schomberg, raz jeszcze brutalnie przypominał Paprice, że szczęście człowieka jest, jak mówi japoński mędrzec, kruche jak kaolia i krótkie jak łyk słodkiej herbaty.

Jedna noc z Ibrahmem!... Te słowa, wypowiedziane bez wahania, zdawały się Paprice bluźnierstwem, okrutną obelgą rzuconą jej biednej, zdeptanej miłości. Ale ona wiedziała dobrze, że każda wielka miłość musi zawierać w sobie całą gamę poświęceń. Serce kochającego człowieka musi nauczyć się cierpieć, tak jak żołnierz, idący w pole, musi być gotów na rany, kalectwo lub śmierć. Kochające serce musi z radością przyjmować poświęcenia i każde jego uderzenie musi być wyrzeczeniem się lub przebaczeniem. Wielkie miłości wyznaczają granice wyrzeczeń. Kochać trochę - to poświęcać trochę swego czasu. Kochać bardzo - to poddać swoje ja władzy kochanej osoby. Kochać namiętnie ~ to podawać nóż ukochanej istocie, mówiąc: „Kraj moje ciało, gotowe jest spłynąć krwią dla jednego twego kaprysu z powodu twego zapomnienia, obojętności czy zdrady...

- A więc odrzuca pani moją pomoc za tę cenę? - spytała Marewa spokojnie, bez prowokacji w głosie.

Paprika podniosła się zrezygnowana.

- Pani, nie można bić się na brzegu, kiedy obok tonie człowiek.

- Obiecuje mi pani swoją pomoc? - Tak.

- Niech wiec pani wraca do domu... Proszę nic mówić nic Ibrahimowi, a jeżeli Schomberg przyjedzie, proszę zatelefonować do mnie jutro, w sobotę wieczór, pod numer 214 do St. Raphael.

Rozdział 10

Ostatnia niedziela... Ponury dzień, którego każda chwila wbiła się w pamięć Ibrahima beja niezatarcie. Siedząc samotnie w pokoju, przebiega myślą ten dzień od rana , godzina po godzinie. Najpierw gorączkowe zachowanie się Papriki... jej naleganie, żeby wyjechać koniecznie, natychmiast, zanim pojawi się Schomberg. On sam protestował łagodnie, ale stanowczo.

- Ostatni raz proszę cię, kochanie - mówił - nie wspominaj mi o ucieczce... To obelga na jaką nie zasłużyłem. Nie zwykłem unikać niebezpieczeństwa i nie zniosę też, żeby kobieca dłoń odwracała je ode mnie... Mówię ci to, żeby nie przyszło ci do głowy błagać Schomberga o litość. My dwaj mamy między sobą porachunki i musimy je załatwić we dwóch, po męsku... Długo i mozolnie wymyślał tę swoją zemstę. Rozkoszuje się nią od roku. Cokolwiek uczyniłabyś z miłości do mnie, na nic się to nie przyda.

Jest 4 czerwca 1929, godzina szósta po południu. Ibrahim pisze do swego intendenta w Kairze, wydaje dyspozycje „na wszelki wypadek”. Pewność zbliżającej się tragicznej chwili nie zaćmiewa bynajmniej jego umysłu. Skończywszy list, zabiera się do drugiego. Ten drugi pisze mozolnie, jakby ważył każde słowo, jakby każda, zawarta w liście myśl odsłaniała rąbek tajemnicy jego życia.

„Marewo! Nadeszła chwila odpokutowania za miłość, którą mnie obdarzyłaś. Kiedy ongiś po raz pierwszy poczułem ów dreszcz, który jest zwykle zwiastunem narodzin wielkiej miłości, kiedy dotknąłem pierwszym pocałunkiem atłasu twego ciała - któżby odgadł, że wargi twoje położą pieczęć na wyroku mojej bliskiej śmierci.

Nie żałuję niczego, Marewo. Kochaliśmy się przecież szaleńczo, Wielekroć cierpieliśmy nawzajem przez siebie, bo mnie niepokoiła twoja pozorna niestałość, a tobie moja

czająca się zazdrość wydawała się niesprawiedliwa. Zapomnijmy o gorzkich słowach, któreśmy sobie mówili, o bolesnych ranach zadawanych pośród pocałunków, o chwilach wrogiego milczenia pomiędzy westchnieniami rozkoszy. Zachowajmy jedynie cenny skarb dobrych wspomnień, niezapomnianych wieczorów, kiedy to ty, moja płowa pantera, igrałaś z moją zgłodniałą miłością, aby być tym gwałtowniej pożartą o pierwszych blaskach zorzy. Zachowajmy szatańskie i święte zarazem wspomnienia naszych zawrotnych, upojnych uścisków...

Czyliż się myłę, Marewo, twierdząc na progu śmierci, że żaden człowiek na ziemi nie posiadał cię tak całkowicie, jak ja cię posiadałem, i że żadna kobieta nie dostarczyła memu pragnieniu pełniejszej rozkoszy?... Chciałem niemal napisać: dzikiej rozkoszy... I to prawda. Jest coś dzikiego w uczuciu rozkoszy, ogarniającym całą istotę do ostatniego fibru, do najmniejszej komórki Krew i rozkosz ten sam zrodził demon. Mała rączka, darząca pieśczętą, może też przynieść śmierć.

W chwili, kiedy będziesz czytała ten list, będziesz już zapewne wiedziała o moim związku z małą Francuzeczką. Winienem ci całą prawdę, Marewo.

Kiedy Schomberg wyrwał mnie ze stambulskiego więzienia, postanowił - i to było jedynie logiczne - zaszczepić mi na nowo miłość życia, abym tym silniej potem żałował. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułem nazajutrz po tym cudownym ocaleniu; postaraj się wczuć w przeżycia człowieka, który widział już niemal stryczek na swojej szyi i nagle znalazł się ni stąd, ni zowąd na luksusowym jachcie, w wykwinnym towarzystwie, pomiędzy dwiema pięknymi kobietami, z których każda usiłuje go oczarować, w atmosferze eleganckiego epikureizmu. Schomberg, który zna się na ludzkich duszach, zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że byłem w owym momencie potulnym, bezwolnym

rozbitkiem, gotowym pochwycić pierwszą lepszą dłoń, jaka się do niego wyciągnie... Dał mi Paprikę... Otoczyła mnie troskliwością, rozweselała mi życie; pozwoliła mi zapomnieć o moim osamotnieniu na ziemi, jakie zawdzięczałem zmianie nazwiska. Pokochała mnie. Uległem jej czarowi i jej wesołości. Dzięki niej zdołałem przeżyć jakoś ten rok, zapominając chwilami, że dzień 5 czerwca musi przecież nadejść! Ale często, och, jakże często, powracałem do ciebie całą mocą myśli. Wtedy pisałem do ciebie... I znowu list, jak wszystkie poprzednie, zostawał bez odpowiedzi Nie wiem nawet w tej chwili, czy żyjesz,' czy też może padłaś i ty tajemną ofiarą rewolucji i odpokutowałaś jeszcze przede mną zbrodnię targnięcia się na całość republiki tureckiej. Ten list ostatni podzieli pewnie los tych wszystkich, które czekają na ciebie w berlińskim Banku. Zżółkną z biegiem czasu, zapomniane w ogniotrwałej kasie, pośród bilansów i operacji giełdowych. Kiedyś, później, ulegną przedawnieniu i jakiś ciekawy skryba zabawi się ich czytaniem. Na kwadrans zatrzyma się myślą na tych zapomnianych felietonach przeżytego przez nas dramatu. Życie kobiety dziwnej i pięknej. Śmierć mężczyzny, który ją kochał. I cóż to zaważy na istnieniu żywych ?

Ale jeżeli otrzymałaś tamte moje listy i nie odpowiedziałaś na nie, bo nowy kaprys kazał ci zapomnieć o mnie, pozwól mi jednak po raz ostatni oświadczyć, Marewo, że byłaś najpiękniejszą miłością mojego życia. Odrzucając od siebie wszelką męską godność, wszelką próżną pychę, powtarzam ci raz jeszcze: Byłaś tu na ziemi i pozostaniesz w przestworzach śmierci najpiękniejszą moją miłością. Jutro twój mąż stanie przede mną. Jeżeli ulęknię się śmierci, on mnie zabije. Chyba że, postawiwszy wszystko na jedną kartę i narażając się na wszelkie rozkosze francuskiego sądownictwa, zabiję go pierwszego. Nie umiem ci powiedzieć dzisiaj, czy

jutro żyć będę. Ale wiedz o tym, Marewo, że jeśli śmierć zawezwie mnie do siebie jutro wieczorem, umrę, szepcząc twoje imię. W tej ostatniej minucie zapomnę o wszystkich kobietach, których czarowi uległem kiedykolwiek, o najpiękniejszych i najbardziej fascynujących. Zapomnę nawet - niewdzięczność potworna, którą wyznać przyjdzie kiedyś Bogu - zapomnę nawet o tej, która od roku otacza mnie miłością bezinteresowną i jest mi jedyną pociechą. Cała myśl moja, przed tym ostatnim skokiem w nicość, będzie przy tobie, Marewo, żono moja na tamtym, lepszym świecie; przy tobie, która opromieniasz mi ostatnie chwile życia i dopomożesz umrzeć bez żalu.

Ibrahim bej"

Skończywszy list Ibrahim bej zapieczętował go czarnym woskiem. Był sam w pokoju, prosił bowiem Paprikę, żeby nikt nie przerywał mu rozmyślania. Teraz jednak otworzył drzwi, przechylił się przez poręcz schodów i zawołał:

- Nie przyjdiesz tu do mnie, kochanie? Paprika czytała, zagłębiona w fotelu, a raczej dumiała nad otwartą książką. Zamknęła ją szybko i wbiegła do pokoju kochanka.

- Co robiłeś tak długo?

- Pisałem ostatnie rozporządzenia.

- Och! Jamil!

- Nie przerażaj się słowami, maleństwo najdroższe... Cokolwiek się stanie, trzeba było uprzedzić mojego intendenta w Kairze... wydać mu dyspozycje dotyczące, między innymi, ciebie... Rozumiesz mnie, maleńka...

- Najdroższy!... Nie pozwalam ci...

- Uspokój się, Papriko - przerwał Ibrahim, patrząc na nią tkliwie. - Nie pozwalam ci protestować. Umarłbym nieszczęśliwy, gdybyś odrzuciła to, co ci na klęczkach ofiaruję... Ten list pójdzie jutro rano. Ale jest jeszcze drugi, o

którym musisz wiedzieć... Nie chcę go wysłać bez twojej wiedzy... Spójrz na adres.

Paprika schyliła się nad kopertą, a potem, podniósłszy na Ibrahima wzrok pełen rezygnacji, szepnęła:

- Wiedziałam, Jamilu... Tam, na dole, myślałam właśnie: „Pisze w tej chwili do Marewy Schomberg”.

- Musiałem kochanie... Nie mogłem nie napisać do niej. Ale, skoro odgadłaś, popatrz mi prosto w oczy... Posłuchaj: ja, który jutro wieczorem, o północy, nie będę pewnie żył, pytam ciebie i proszę o szczerą odpowiedź: Czy mam zaadresować ten list do Berlina, czy do nieznajomej damy, która tu kiedyś przyszła?

Paprika milczała. Ibrahim wziął jej obie ręce w swoje i mówił:

- Trzeba mówić prawdę tym, którzy mają umrzeć, Papriko. Jeżeli Marewa była tutaj, jeżeli to ona później telefonowała, wiesz może, gdzie mieszka.. Będiesz mogła odesłać jej ten list.

Paprika milczała nadal.

- Daj mi słowo honoru, że nie znasz nazwiska tej kobiety.

- A jeżeli by to była Marewa Schomberg? - Paprika podniosła na niego rozgorączkowane oczy. - Gdybym ci powiedziała jej adres, czy nie pobiegniesz do niej zaraz?

Ibrahim wyczytał prawdę w nie znających kłamstwa oczach Papriki. Wziął ze stołu list i podał go dziewczynie.

- Zbyt wiele powiedziałaś, Papriko - rzekł po prostu. - Marewa była tutaj... Powierzam ci mój list... Możesz go spalić albo oddać jej, jak zechcesz.

- Jamil! Będzie go miała dziś wieczorem.

- W takim razie wyrzeknę się widzenia z nią.

Jak dwoje dzieci usiłujących powstrzymać falę za pomocą piaskowego szanca, tych dwoje chciało wielkodusznością walczyć ze złym losem. Oboje za wszelką cenę chcą sobie

wzajemnie oszczędzić cierpienia. Paprika ściska kurczowo zapieczętowaną kopertę. Gdyby przeczytała ów list, każda litera byłaby jak cios sztyletu, wymierzony jej nieszczęsnej miłości.

Ale ona wypełni swą misję uczciwie. Ibrahim nadludzkim wysiłkiem dusi w sobie pragnienie, by ujrzeć Marewę. Składa tę ofiarę na ołtarzu wdzięczności.

- Biorę auto, Jamilu. Twój list oddam osobiście do rąk adresatki.

Ibrahim chce odpowiedzieć, ale oto ukazuje się służąca z biletem wizytowym na tacy.

- Co tam, Anno?

- Dla pana. Ibrahim bierze kartę.

- Kto to? - pyta Paprika niespokojnie.

- To on. Ale nie bój się. 5 czerwca to dopiero jutro. Do tego czasu nic mi nie grozi. Wyjdź, kiedy Anna wprowadzi Schomberga do gabinetu.

Ibrahim schodzi z wolna po dębowych stopniach. Schomberg, stając w gabinecie, przypatruje się z zajęciem jakiemuś obrazowi. Na odgłos kroków odwraca się i odzywa lekkim tonem amatora pięknych rzeczy, który wstąpił po drodze do starego przyjaciela:

- Dzień dobry, Ibrahimie beju... Gdzież to pan wyszperał tę akwafortę Edwarda Chimot?

Pewni ludzie posiadają dar niewzruszoności, posunięty do ostatnich granic. U jednych zimna krew znamionuje chorobliwą nieczułość, u innych wynika z ubóstwa wyobraźni - ale o to nie można by posądzać doktora Schomberga. Jego zachowanie zaskoczyło Ibrahima i zbiło go z tropu. Po roku, po tylu przeżyciach - Schomberg wita się z nim, wyrażając swój zachwyt nad jakąś tam akwafortą! Bezpośrednio przed podniesieniem kurtyny kryjącej epilog dramatu, epilog wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tragiczny - gawędzi o sztuce.

Chcąc okazać tyleż swobody ducha, ile jej miał jego wróg, Ibrahim odpowiedział ironicznie:

- Dobry wieczór, doktorze... Proszę przyjąć ode mnie ten obraz, skoro tak się panu podoba... Wolę go oddać w godne ręce, zanim go wystawią na licytację, co, jak przypuszczam, nastąpi już wkrótce.

- Dzięki... Nie mogę przyjąć. Kupię go sobie, jeżeli istotnie pańskie skarby będą wystawione na sprzedaż. Zdaje się, że moja wizyta nie zaskoczyła pana?... Czyżby się pan mnie spodziewał?

- Wiedziałem, że będzie pan tu przejazdem... Wspominała mi o tym panna Paprika. A właściwie czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- Przyszedłem złożyć panu życzenia. Bo też rzeczywiście nie wygląda pan na człowieka, który nazajutrz - słowo „nazajutrz” nie jest tu figurą retoryczną - ma przedsięwziąć tak ważny krok. Doprawdy, Ibrahimie, nie powinien się pan obrażać, kiedy panu wyznam, że spodziewałem się zastać pana skulonego na łóżku i oblanego zimnym potem... Ale pan, jak widzę, umie nadrabiać miną, skoro coś jest i tak nieuniknione.

- Schomberg, nieunikniona jest tylko Śmierć wynikająca z przyczyn zewnętrznych. Samobójstwo nie jest nieuniknione. Było już wielu takich, którzy, zanim skierowali broń przeciw sobie, zabijali najpierw wroga... Oczywiście, że to zwalniało ich już z dalszych zobowiązań.

- Nie mam pojęcia, czy to, co pan mówi, jest dyskretną aluzją do pańskich osobistych zamierzeń, ale na wszelki wypadek muszę pana uprzedzić. W kieszeni marynarki noszę nabity browning. Oświadczam to panu uczciwie, bo nie należę do takich, co strzelają w plecy.

Schomberg wstał, nie wyjmując prawej ręki z kieszeni.

- Ibrahimie beju, powiedzieliśmy sobie wszystko. Niech się pan jeszcze namyśli, zanim podniesie pan rękę na swego zbawcę... Do widzenia... Nie podawajmy sobie rąk, tak będzie rozsądniej. Moja jest uzbrojona na wszelki wypadek, a kurek przy tego rodzaju broni jest taki czuły...

Rozdział 11

Paprika wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę St. Raphael. Jakiś przechodzień wskazał jej willę „Semiramis”, obszerny budynek w stylu mauretańskim, ozdobiony zielonymi azulejos, którymi obłożone były łuki okien.

Paprika przeszła przez ogród pełen sosen. Otoczona palmami willa widoczna była na pomarańczowym tle zachodniego nieba. Ani jednego światła w oknach. Dom zdawał się niezamieszkały. Nikt się nie zjawił na odgłos dzwonka. Po chwili czekania Paprika weszła na taras kryty kolorowym, szklanym dachem. Zadzwoiła. Nareszcie otworzono drzwi. Ukazał się w nich ciemnoskóry służący w czerwonym turbuczu na głowie.

- Czy zastałam panią Schomberg? Proszę powiedzieć, że przyszła panna Paprika. Służący znika, po chwili ukazuje się znowu, stąpając bez szelestu po mozaikowej posadzce przedsiionka, i wprowadza Paprikę do salonu z rozległą, oszkloną werandą wychodzącą na morze. Wnętrze tego pokoju jest ledwo widoczne w zapadającym mroku. Tylko w jednym kącie płonie blade światło lampy na niskim stoliku. Przezroczyste białe niedźwiedź, za ledwie oświetlający dwie filiżanki tureckiej kawy, talerz słodczy i pełną papierosów szkatułkę z sandałowego drzewa. Na poduszkach leży kobieta z papierosem w ustach, z głową odrzuconą na splecione na karku dłonie. Obok na dywanie siedzi Marewa Schomberg.

- Proszę, niech pani siada... - mówi półgłosem, jakby się bała przerywać zadumę przyjaciółki.

Paprika siadła w milczeniu. Waha się, czy mówić wszystko przy tamtej. Marewa zauważa to i dodaje szybko:

- Nie mam tajemnic przed moją przyjaciółką Nimet... Pozwolą panie, że je przedstawię... Panna Paprika, gwiazda music - hallów. Pani Zahab.

Egipcjanka wita gościa lekkim skinieniem głowy. Paprika uśmiecha się uprzejmie. Pani Zahab jest bardzo piękną kobietą; jej cera ma w sobie coś z lilii i miodu; oczy ma wilgotne i mdlejące. Mąż jej, Zahab pasza, był bohaterem egipskich walk o niepodległość. Pani Zahab porzuca co roku, w kwietniu, upalną ziemię Ptolemeuszów i zjeżdża do willi „Semiramis”.

Oddana przyjaciółka Marewy nie ominęła ani jednej sposobności okazania jej swego szczerego przywiązania. Zna też wszelkie szczegóły jej znajomości z Ibrahimem i dowiedziawszy się o obecności kochanka przyjaciółki w Agay, samorzutnie ofiarowała pomoc i gościnę.

- Tak, proszę pani - odpowiada Paprika na nie wymówione pytanie Marewy. - Tak jest. Doktor Schomberg jest na Jasnym Brzegu.

- Skąd pani o tym wie, panno Papriko?

- Pół godziny temu przyniesiono Ibrahimowi jego bilet. Marewa wyprostowała się, zaciekawiona. Nimet pochyliła się w stronę Papriki. Ona również wyglądała na bardzo przejętą.

- Ibrahim i Schomberg są w tej chwili sam na sam? - zapytała.

- Ibrahim stanowczo sobie nie życzył, żebym widziała się z Schombergiem.

- Zna pani jego adres? Czy zatrzymał się gdzieś blisko?

- Nie wiem. Skądże bym mogła wiedzieć, skoro go nie widziałam? Marewa wstała raptownie.

- Co chcesz uczynić, kochanie?

- Ależ nie ma chwili do stracenia... Nie czekaj na mnie z obiadem, Nimet. Nie troszcz się o mnie. Zatelefonuję do ciebie wieczorem.

Marewa jest już przy drzwiach, ale głos Papriki zawraca ją od progu:

- Proszę pani... mam do pani list... To bardzo bolesna misja, ale przyrzekłam Ibrahimowi, że go oddam...

Marewa wraca szybko, chwytając kopertę z czarną pieczęcią i wsuwa ją za sukienkę. Jej gwałtowny ruch zdradza ukrywane wzruszenie.

- Dziękuję - szepcze. - Spróbuję go ocalić... Jeszcze jedno pytanie. Czy Schomberg przyjechał autem?

- Tak. Wyjeżdżając, widziałam przed bramą dużą, granatową maszynę z literami CS na tabliczce z tyłu.

- To jego auto, zarejestrowane w Czechosłowacji... Dziękuję... Dam pani znać, jak tylko zajdzie coś nowego.

Szofer Marewy zatrzymał się o sto metrów od willi. Na rozkaz pani poszedł dyskretnie obejrzeć samochód, którego czerwone światło widoczne było z daleka.

- Nie, proszę pani - opowiedział po powrocie. - To nie jest francuska maszyna, to bezn.

- Doskonale. Przyjechaliśmy na czas... Posłuchaj, Edwardzie. Nie spuszczaście z oka tego samochodu. Kiedy ruszy, pojedziemy za nim.

Doktor Schomberg wysiadł przed hotelem Majestic.

- Nie wjeżdżać w podwórze... - rozkazała szoferowi. - Proszę tu zostać i czekać na mnie, choćby do rana.

Marewa wchodzi do hallu.

- Czy doktor Schomberg wrócił? - pyta portiera.

- Kogo mam oznajmić, proszę pani?

- Chcę z nim pomówić przez telefon. Który to numer pokoju?

- Sześćdziesiąty trzeci, proszę pani.

- Dziękuję.

Marewa wchodzi do kabiny telefonicznej, kładzie rękę na słuchawkę i puszcza ją po chwili wahania. Wychodzi z kabiny, wsiada do windy i szuka numeru 63. Przed drzwiami zatrzymuje się jeszcze, waha się chwilę - wreszcie stuka.

Milczenie. Wchodzi. Pokój jest pusty. Z sąsiedniej łazienki słyszy głos, który przejmując ją dreszczem. Głos suchy, władczy:

- Garson... Proszę mi natychmiast przynieść blankiety telegraficzne.

Marewa stoi bez ruchu. Jak urzeczona wpatruje się w smugę światła pod drzwiami łazienki.

- Garson! Jest tam kto?

Smugę światła pod drzwiami przecina cień. W drzwiach staje on. Serce Marewy zaczyna bić silniej. Widzi jego ciemną sylwetkę na tle jasnego prostokąta otwartych drzwi. Po raz pierwszy może od lat twarz jego wyraża niezmiernie zdumienie. Nikt nie dociecze, czy to ironia okrutna, czy pogarda, żal czy bolesny wyrzut brzmiał w jednym, jedynym słowie, jakie wydarło mu się z piersi:

- Marewa!

- To ja, Hugo... To tylko ja...

Milczenie... Przerazające milczenie jak to, które ciąży nad ziemią, zanim rozpęta się burza. Marewa stoi pośrodku wielkiego pokoju. Nie złorzeczy ani się nie korzy. Stoi tylko czekając, aż zerwą się tamy hamowanego wybuchu gniewu męża.

- Dowiedziałam się przypadkiem, że jesteś w Cannes... I skoro sam los nas zbliżył, przyszedłam...

Powiedziała to łagodnie, cicho. Schomberg słucha bez drgnienia. Naraz, jak gdyby jakaś siła wewnętrzna raptownie zerwała pęta, podchodzi do Marewy z okrutnymi oczyma i zaciśniętymi pięściami. Staje tuż przed nią. Mierzy strasznymi oczyma jej twarz, na pozór spokojną.

- Czego ty tu chcesz?

Marewa nie drgnęła. Nie wygląda wyzywająco. Raczej jest skamieniała ze zdumienia. Odpowiada, nie podnosząc głosu:

- Ależ, Hugo, skoro jesteś w Cannes, i ja też jestem tutaj... Czemu miałabym uciekać przed tobą? Czemu nie miałabym...

- Idź precz!

Słowom towarzyszy krótki, rozkazujący gest. Chuda ręka Schomberga wskazuje drzwi.

- Wypędzasz mnie od siebie?

- Wypędzam niegodną żonę, która mnie podle oszukała... Nie mogę patrzeć na twoje kłamliwe oczy, na twoje usta, które całują każdego, kto się trafi... Rozumiesz? Czy wyrażam się dość jasno, kiedy mówię, że ladacznice takie jak ty są przekleństwem uczciwych ludzi?... Cóż ma znaczyć ta wizyta, te grzeczne słówka, ten rozkoszny świergot, co?... Nie po to przyjechałem do Cannes, żeby szukać tej, która ukrzyżowała mnie kiedyś, by uciec z buduarowym błaznem... Idź dalej handlować sobą po całej Europie... Gardzę tobą i ostatni raz proszę cię, idź precz!

Marewa jest już na progu. Czeka parę sekund i wychodzi. Drzwi, brutalnie pchnięte przez Schomberga, zamknęły się za nią z trzaskiem. Stojąc w korytarzu, Marewa nie myśli o do; znanych zniewagach. Gotowa jest na wszystko, ale do ostatecznego rozstania nie dopuści. Idzie wolno w stronę schodów. Bardzo, bardzo wolno. Co tam miłość własna i ambicja, tu chodzi o życie Ibrahima! Na końcu korytarza przystaje nasłuchując. Nic... Za chwilę winda zwiezie ją na dół. Wszystko będzie skończone...

Nagle - drgnienie nadziei. Marewa słyszy swoje imię, które rozkazującym tonem wypowiada jej mąż. Udaje jednak, że nic nie słyszała, i schodzi szybko na dół. Z bijącym sercem stawia pierwsze kroki na schodach. Schomberg, który w kilku skokach przebiegł korytarz, chwytą ją za ramię żelazną dłonią.

- Wracaj! Nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego.

Marewa udaje, że się opiera, ale on siłą zmusza ją do powrotu, wprowadza do swego pokoju - drzwi zamyka na klucz i, trzymając ją mocno za obie ręce, mówi twarzą w twarz.

- Po coś tu do mnie przyszła, ty, podła? Czym chciał czego od ciebie? Po co mi się znów przypominasz, po co krążysz koło mnie jak kotka szukająca samca? Jeżeli tego ci potrzeba, to przecież wiesz, gdzie ich szukać. Psiakrew!

- Hugo! Puść mnie... Połamiesz mi ręce!

- A ty łamiesz serca i jeszcze się śmiejesz, żmijo... To tak samo boli... Jeżeli ci potrzeba kogoś do zabawy, zajrzyj tylko do hallu. Znajdziesz tam takich, wcale niczego... Wezmą cię z przyjemnością. Już się przecież nauczyła, jak się łapie pięknych Egipcjan... Ty się urodziłaś po to, żeby kupczyć swoim ciałem, a nie żeby nosić nazwisko uczciwego człowieka... Słyszysz?

- Ach! Boli!... Puść! Jesteś okrutny. Dlaczego?

Osunęła się na ziemię obok łóżka. Schomberg puścił jej ręce. Rzuciła się na dywanik, jęcząc głucho. Wie dobrze, że gniew mężczyzny opada na widok cierpienia kobiety.

- Ach! Gdyby można było sądzić o szczerości wedle ogromu żalu... - szepcze.

- Marewo...

- Hugo?

- Żałujesz naprawdę? I czegoż ty żałujesz?

- Ty, który mnie znasz, powiedz: Czyż byłabym w twoim pokoju, gdyby mnie nie przygnało nieprzewyciężone pragnienie szczerego powiedzenia wszystkiego?

- Mówmy więc szczerze, Marewo... Twój kochanek jest tutaj. Przyjechałaś do niego...

- Przysięgam ci na pamięć mojego biednego ojca, że nawet go nie widziałam... A to przysięga dla mnie najświętsza...

- Ale wiesz, co się z nim działo od chwili upadku rewolucji?

- Tak... Ibrahim pisał do mnie kiedyś do Berlina... Wiem, że chciałeś się na nim zemścić... Biedaku mój! Ty - mścić się!

- Ten człowiek zasłużył na moją zemstę.

- Dlatego, że mi dopomógł, sam o tym nie wiedząc, odzyskać równowagę? Ty, Schomberg, ty miałbyś się mścić na Ibrahimie? Ty, nadczyłowiek, ty byś się mścił na tej salonowej lali?... Ha, no, skoro tego chcesz, nie będę ci przeszkadzała... Ale czy nie sądzisz, że kiedy ja stoję przed tobą z pochyloną głową, powinieneś raczej wyciągnąć do mnie rękę, zamiast myśleć o zemście?

- Marewo, czy wiesz o tym, że ten człowiek zobowiązał się zabić jutro, 5 czerwca... Mam w kieszeni dokument z jego podpisem.

Schomberg wypowiedział te słowa beznamiętnie, z pozorną obojętnością człowieka prawa, który wymienia punkty umowy. Jego szare oczy śledziły Marewę, szukały bodaj najmniejszego odruchu grozy. Stał przed nią, wsparty o kominek, ze splecionymi na piersiach rękami. Nic nie zdradzało kłębiących się uczuć. Czekał odpowiedzi. Wiedział, że Marewa nie może pozostać nieczuła na tak żywe przypomnienie mającego nastąpić dramatu.

Marewa wstała również. Podeszła do niego i rzekła spokojnie, niemal pogodnie:

- To przeszłość, która dla mnie już umarła... Uczynisz jutro, jak zechcesz.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia na ten temat, Marewo?

- Dlaczego mnie ranisz, przypominając moje winy, jeżeli wracam do ciebie z nową, odrodzoną duszą?

- Schomberg odwrócił się w stronę okna. Wpatrzony w morze, zapomniał na chwilę o obecności Marewy. Usiłuje

odnaleźć prawdziwą ścieżkę w tym labiryncie nowych uczuć. Ta kobieta, która go porzuciła dla innego, jest teraz tak zupełnie obojętna na los tamtego człowieka... Fałsz czy szczerłość?... Nieufność Schomberga wzięłaby niewątpliwie górę nad ukrywaną radością z odzyskania Marewy, gdyby nie pewna myśl, która raptem błysnęła mu w mózgu i wyjaśniła wszystko. Zapomniał przecież o Paprice! Jeżeli Marewa wie, że Ibrahim pocieszył się dziewczynką z Montmartre'u, musiało to zranić jej dumę zbyt silnie, by kiedykolwiek miała mu przebaczyć.

- Więc cóż nam pozostaje, Marewo? - pyta.

- Myślę, że powinniśmy zawrzeć pokój.

- Chcesz zamieszkać tutaj, w Majestiku, dopóki nie wrócimy do Orlika? Od trzech lat czekam tam na ciebie.

- Posłuchaj, Hugo. Mieszkam u mojej bardzo dobrej przyjaciółki w St. Raphael, willa „Semiramis”... Czy zgodziłbyś się, żebyśmy urządzili jutro wieczorem maleńki obiad we troje dla uczczenia naszego ponownego spotkania?

- Z radością, jeżeli tak sobie życzysz.

- Nimet wie o mnie wszystko. Pragnie mojego szczęścia i będzie jej miło widzieć nas razem u siebie... Przyjadę po ciebie jutro o piątej.

- Będę na ciebie czekał, Marewo... Będę na ciebie czekał z tajemnym niepokojem w sercu - niepokojem odzyskanego szczęścia.

- Hugo... a więc twoje serce zdolne jest...

- Do czegoż nie byłoby zdolne dla ciebie, Marewo?

Marewa odjechała. Pokój pełen był jeszcze jej zapachu. Od chwili kiedy zamknęła drzwi, rzuciwszy mu od progu tkliwe, dobre spojrzenie, jakie pamiętał z pierwszych dni ich małżeństwa, Schomberg nie drgnął. Stał bez ruchu, jakby lękał się spłoszyć, chodząc, resztki tego zapachu, pełnego wspomnień. Marewa skruszona i żałująca - to była jakaś inna,

nowa, nieznana istota, której nagłe odkrycie wstrząsnęło nim. A więc on, Schomberg, światowej sławy psychiatra, nie potrafił przewidzieć tego powrotu marnotrawnego dziecięcia? Czy zatem żaden, najbardziej wszechwiedzący umysł nie zdoła uporządkować i określić tego chaosu, jaki przedstawia dusza kobieca?

Rozdział 12

Była dziewiąta wieczór. Obiad w willi „Semiramis” dobiegał końca. - Proszę, drogi doktorze. - Pani Zahab podsunęła Schombergowi onyksową czarę pełną daktyli. - Niechże pan skosztuje... Sama słodycz, a dzisiaj wszystko ma być słodkie. Marewa jest przy panu. W jej oczach widać blask szczęścia... I ja również zaznaczę dzień 5 czerwca 1929 różowym krzyżykiem... Jej szczęście jest przecież i moim. Czyż nie tak powinno być między przyjaciółmi, doktorze? Powtarzam, jest to dzień słodki, słodki jak sorbet w mojej ojczyźnie... Wszystko wokół się śmieje, każe nam używać szczęścia i miłować życie... Nieprawda, Marewo?

Marewa siedziała na sofie obok wspartego o poduszki Schomberga. Nagle zarzuciła ramię na szyję męża i wsparła głowę na jego ramieniu.

- Masz rację, Nimet, nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwa. Ale zamiast nas kusić daktylami, nalej raczej szampana... Hugo i ja wypijemy na twoją cześć, najmiłsza, pierwszy świadku naszego pojednania.

- Bądźmy rozsądni, Marewo - zaprotestował słabo Schomberg. - Wiesz przecież, że nigdy nie piję... A tymczasem te trzy puste butelki...

- Hugo? Czyż nie przeżywamy teraz jedynych, nadzwyczajnych chwil? Czyż nie jest to warte jednego odstępstwa od zasad?

- Kochany doktorze! - nalegała ze swej strony Nimet. - To taki niewinny napój... Daję panu dobry przykład.

Trzy kielichy opróżniły się błyskawicznie. Biesiadników ogarnęła wesołość. Przez otwartą werandę wpadły ciepłe morskie podmuchy, od których chwiały się płomyki świec na stole. Z zielonej, emaliowanej kadzielnicy dobywała się woń płonącej myrry. Nimet stanęła w drzwiach i spoglądała przez

chwilę na morze zalane księżycową poświatą. Potem westchnęła i odwróciła się do swoich gości.

- Zazdroszczę wam waszej miłości... Na waszym miejscu pragnęłabym, by świat zmienił się naraz w eldorado dla tych wszystkich, którzy cierpią, trwożą się i płaczą...

- Słusznie mówisz, Nimet... Prawdziwe szczęście powinno być wolne od egoizmu... Otwórz jeszcze jedną butelkę, dobrze? Prawda, Hugo? Wypijmy na cześć naszej miłości zmartwychwstałej z popiołów...

- Dla ciebie, Marewo, gotów jestem na wszystko.

Służący znowu napełnił trzy kieliszki. Nimet zbliżyła się do Schomberga i siadłszy po jego prawej stronie, trąciła jego kielich swoim.

- Doktorze Schomberg... Niech pan wypije, a potem odpowie mi na jedno pytanie.

- Jestem posłuszny jak dziecko, droga pani... Już. Ale niech pani prędko pyta, bo jeśli mi pani każe wypić jeszcze jedną butelkę, to nie ręczę za logiczną stronę moich odpowiedzi.

- Nie wierzę, najdroższy... - Marewa przytuliła się namiętnie. - Twój mózg jest najpiękniejszą maszyną do myślenia, jaką kiedykolwiek spotkałam.

- Pochlebstwa, Marewo... Ale chciała mnie pani o coś spytać, Nimet. Słucham. Zawahała się chwilę.

- Zapomniał pan o człowieku z willi pod Agay? - zapytała ostrożnie.

- Nie chcę o nim myśleć, przynajmniej dzisiaj.

- Ale... bo... właśnie dzisiaj jest dla niego dość ważny, jeżeli się nie mylę... - Nimet i Marewa śledziły uważnie rysy Schomberga. To nagłe przywołanie go do rzeczywistości nie odbiło się wcale w wyrazie twarzy. Nie drgnął nawet. Z warg nie zniknął uśmiech. Rozgrzany, ożywiony, z błyszczącymi oczyma, rzucił niedbale:

- Co tam ważny! Poważne sprawy na jutro! Marewa podsunęła mężowi kieliszek.

- Słusznie, najdroższy! Co on nas obchodzi? Ma się przecież kim pocieszyć.

Tymczasem Nimet dotknęła lekko ramienia Schomberga i mówiła dalej, ściskając jego dłoń w swojej:

- Drogi przyjacielu... Zapomina pan, jaki był termin umowy... Ibrahim bej ma się zabić dziś przed północą. Czyż chce pan koniecznie, aby tego samego dnia, kiedy bierze pan znowu Marewę w ramiona, połała się krew? Wiem dobrze, że ludzie tacy, jak pan, śmieją się z przesądów... Ale czyż trzeba mieszać śmierć do waszego szczęścia? Czy strzał rewolwerowy w willi pod Agay musi tu być prologiem?

Marewa znowu napełniła kieliszek. Na pozór obojętna, przytknęła wargi do kryształowej krawędzi i piła musujący napój drobnymi łykami. Schomberg popatrzył na nią.

Czyżby los dawnego kochanka aż tak zupełnie ją nie obchodził?. Łagodnym ruchem odsunął kieliszek od jej warg i spytał z uśmiechem: - Marewo? Ma umrzeć czy żyć?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Trzeba by o to zapytać panny Papriki, mój drogi! - odpowiedziała, wydymając pogardliwie usta.

Schomberg odwrócił się do Nimet, jakby biorąc ją na świadka.

- Widzi pani sama, moja droga... Wszystko jej jedno... A zatem los tego człowieka nic mnie nie obchodzi.

- W takim razie trzeba mu zwrócić słowo!

- Mówi pani tak stanowczo, jakby to pani dotyczyło bardziej niż Marewy i mnie razem... Nimet wstała. Spojrzała na Schomberga z wyrazem powagi, który przydawał jeszcze piękna jej rysom. - Bo to jest mój rodak... - wyjaśniła. - Rozumie pan?

- Ach?

- Rozumie pan, Schomberg? Znałem kiedyś w Kairze jego rodzinę. Nie mogę myśleć spokojnie o takim końcu tego człowieka... Tak bym chciała, by zdobył się pan przez przyjaźń dla mnie na ten prześliczny gest... Jeżeli nie jest jeszcze za późno, niechże mu pan daruje... Niech pan zapomni o jego istnieniu na prośbę kobiety, która nie chce, by pan obciążył sumienie niepotrzebną śmiercią.

- Wiem, czego pani żąda ode mnie, pani Zahab.

Schomberg zawahał się, po czym sięgnął do portfela i spojrzał na Nimet pytająco. - Tak, tak, doktorze Schomberg! O to właśnie chodzi! Papier, podpisany w więzieniu, nie ma już znaczenia. - Cóż mam z nim zrobić? Spalić? - Nie, doktorze, trzeba go zwrócić Ibrahimowi. Schomberg wzdrygnął się.

- Nie pan, oczywiście... - dorzuciła śpiesznie Nimet. - Byłoby to prawdziwie po rycersku, ale rozumiem, że nie chce pan tak podkreślać swego przebaczenia. Lepiej będzie, jeżeli ja...

Marewa zerwała się gwałtownie z sofy. Jej twarz zmieniła się w jednej chwili. Ze ślicznych ust zniknął uśmiech.

- Nie, nie! - zwróciła się do Schomberga. - Nie ty oddasz ten papier Ibrahimowi ani też nie Nimet... To ja chcę go cisnąć w twarz pannie Paprice... Słyszysz? Skoro oboje zamierzacie w ten sposób zamknąć ten smutny rozdział w naszej przeszłości, chcę mieć przynajmniej satysfakcję upokorzenia rywalki... Chcę, żeby ułaskawienie jej kochanka przyszło ode mnie... Zgadzasz się, prawda, Hugo? Daruj mi ten upominek na nasze drugie wesele...

Schomberg pokiwał głową.

- I pomyśleć - rzekł do Nimet - że pani przypisywała mi mściwość!

- Wie pan przecież o tym, Schomberg, że dwie są rzeczy, przed którymi nikt się nie uchroni: przyływ morza i zemsta kobiety.

- A więc weź sobie, Marewo, ten fatalny papier. Masz, baw się nim...

- Dziękuję, jedyny! Nimet odwiezie mnie autem do Agay. Prawda, Nimet? Będziemy z powrotem za pół godziny...

Schomberg spoglądał na stojące przed nim kobiety z wyrazem zadowolonej ironii.

- Doprawdy - odezwał się - nigdy nie ścigała zbrodni piękniejsza zemsta i piękniejsza sprawiedliwość!

Rozdział 13

Auto zatrzymało się przed willą w Agay. Marewa dusi przyjaciółkę w gwałtownym uścisku, okrywa pocałunkami jej twarz i ręce. - Najdroższa! - szepce w uniesieniu. - Wszystko ci zawdzięczam... Przyjaciółko jedyna... Nimet...

- Dobrze się spisałam, Marewo? Jesteś zadowolona?

- Byłaś cudowna, uwielbiam cię! Ale teraz - ani minuty do stracenia! Zrób, cośmy ułożyły. Czekam w samochodzie.

Nimet szybko mija aleję tamaryszków. Na pierwszym piętrze w jednym oknie błyszczy światło. Nimet dzwoni. W drzwiach ukazuje się zdziwiona służąca i śmiertelnie blada Paprika1:

- Dobry wieczór pani... Chcę się widzieć z Ibrahimem bejem.

Paprika wprowadza panią Zahab do salonu i szybko zamyka za sobą drzwi.

- Nie wiem już sama, co myśleć, proszę pani... - Jej głos trzęsie się ze zdenerwowania. - Ibrahim zamknął się na klucz. Pukałam, ale nie odpowiada... Boję się mu przeszkadzać... I boję się zostawić go tak samego... Co słyhać? Stało się coś nowego?

- Przyjechałam po niego... - Po co?

- Mam go zawieźć do doktora Schomberga... Och, niechże się pani nie lęka... Wszystko już ułożone... Zły sen się kończy.

- Ach! - Twarz Papriki rozpręza się od razu.

- Tak. Ale trzeba, żeby Ibrahim jechał ze mną natychmiast.

- Chodźmy więc do niego.

- Ibrahimie! - woła po arabsku Nimet. - Jestem przyjaciółką Marewy... Niech pan otworzy! Prędko! Wytłumaczę panu...

W pokoju słyhać kroki. Drzwi otwierają się wreszcie. Ibrahim spogląda ze zdziwieniem na kobietę, której nigdy nie widział a która przemawia do niego w jego ojczystym języku.

- Prędko, Ibrahimie. Płaszcz, kapelusz... Zabieram pana. Auto już czeka.

- Po co?

- Zobaczy pan, prędko, prędko...

Ibrahim idzie za nią posłusznie. Przechodząc, dotyka czoła Papriki przelotnym roztargnionym pocałunkiem. Ale mała rączka Papriki przytrzymuje jego rękę mocnym uściskiem.

- Jedno słówko, kochanie.

Paprika i Ibrahim wracają do pokoju. Paprika zamyka drzwi i patrzy na kochanka wzrokiem pełnym rozpacz, w którym maluje się wysiłek nadludzkiego wyrzeczenia. Ibrahim wyciąga do niej ramiona. Ale ona zatrzymuje go łagodnie, lecz stanowczo.

- Nie, mój najdroższy... Odgadłam to, czego nie powiedziała ta Egipcjanka... Wiem, dokąd jedziesz... A przecież nie zatrzymuję cię... Wiem, że ta siła przemożna porwie cię, ledwie wyjdiesz z naszego różowego domku... Nie opieraj się jej, Jamilu... Wiele zrozumiałam w ostatnich kilku dniach... Widzisz, jak oddałam ci się całym sercem. Chciałam rozjaśnić moją biedną miłością twoje ostatnie miesiące. Ale to nie to samo, co ona, tamta, umiała ci dać. Nic nie mów, najdroższy mój, jedyny... Później popłaczę sobie, kiedy będę już sama... Nie chcę teraz psuć radości, która cię czeka. Bądź szczęśliwy. A jeżeli przypomną ci się kiedy nasze ostatnie, tragiczne noce, pomyśl też troszkę o twojej małej Paprice, która nie była przecież zła... i kochała cię całym sercem, całą duszą.

Paprika otworzyła drzwi. Nie dając przyjść do słowa Ibrahimowi, pociągnęła go ku pani Zahab - i weszła z powrotem do pustego pokoju.

Ibrahim idzie za Nimet, której maleńkie pantofelki z białego atlasu zaledwie muskają żwir alei. Naraz w samochodzie, którego motor mruczy niecierpliwie przed bramą, dostrzega znaną sylwetkę... Wzruszenie ściska mu gardło. Dwie ręce wyciągają się ku niemu. Dwoje jasnych oczu pociąga go, przyprawia o zawrót głowy. Chciałby krzyknąć... Ale mała, najdroższa dłoń przyciska mu usta i tłumi okrzyk. Głos, który przejmuje go dreszczem, rozkazuje słodko:

- Cicho! Siadaj prędko! Nie mamy chwili do stracenia.

Ibrahim rozumie zaledwie tyle, że oto porywają go ni stąd ni zowąd, w nocy...

- Nie mów nic... - szepcze Marewa. Jedziemy daleko... Masz swój papier... bez żadnych warunków... Nie ma już piątego czerwca 1929...

Samochód pędzi z szaloną szybkością po krętej drodze. Ibrahim czuje w ręce szeleszczącą kartę papieru... Widzi znowu Stambuł... Trybunał Niezależny... dozorcę Mehmeda... biały jacht... nagie piersi Dafne, taniec Papriki w aleksandryjskiej „Wenecji”...

Samochód zatrzymuje się. Ręka Marewy zaciska się na jego ręce, dając w ten sposób niemy rozkaz trwania bez ruchu. Nimet wysiada przed willą „Semiramis”. Kładzie palec na ustach i żegna ich skinieniem głowy i uśmiechem.

- Dokąd jedziemy, proszę pani? - pyta szofer.

- Do granicy hiszpańskiej... Będziemy jechali aż do świtu.

Samochód pogrąża się w ciemność nocy. Nimet ściga wzrokiem czerwone światelko drgające niziutko nad ziemią, a kiedy znika, sama wraca do willi. Staje na progu salonu. Schomberg siedzi wciąż jeszcze w tym samym miejscu, oparty o poduszki. W rękę trzyma kielich szampana.

- Wróciłyście nareszcie! - woła na widok Nimet.

- Ja, tak...

- A Marewa? Jest w sieni, co? Ręczę, że siedzi przed lustrem?

- Nie, Marewy nie ma ze mną... - Jak to?

Nimet wzrusza ramionami.

- Ależ, doktorze Schomberg, mówię panu, że nie przywiozłam Marewy. Myślałam nawet, że już wróciła...

- Jak to? Nie wróciła z panią?

- Nie. Chciała pomówić z panną Papriką... Wróciłam sama i odesłałam jej samochód do Agay... Jestem tu już od kwadransa i myślałam, że ona już tu jest. Nie wiem, cóż to wszystko ma znaczyć.

Twarz Schomberga stała się popielata. Stoi przy stole, wpatrując się w Nimet strasznymi oczami.

- Cóż to ma znaczyć? - powtarza głucho.

- Och! Nic dziwnego, że się spóźnia... Zemsta kobiety jest jak mrożona potrawa... Trzeba się nią rozkoszować powoli, długo...

- Tak... Cisza, a potem nagle trzask tłuczonego szkła. To Schomberg zmiażdżył w palcach kieliszek. Zbliża się do Nimet, nie odrywając od niej swych szaleńczych oczu.

- Na kim ona się mści? Na Paprice czy na mnie?

- Co pan chce przez to powiedzieć, doktorze Schomberg?

- Och, dosyć tej gry... Miłość zaślepia czasem tych, którzy chcą być oszukani, ale nie na długo...

Schomberg podchodzi jeszcze bliżej. Wyciąga ku Nimet zakrwawiony okruchami kieliszka palec.

- No, co? - krzyczy. - Pani, jej współpracowniczka, musi mi powiedzieć prawdę!... Gdzie jest Marewa?

- Ależ nie mam pojęcia! Niech się pan liczy ze słowami... Cóż to, jestem niańką pańskiej miłości? Moja przyjaciółka jest pełnoletnia... A i pan jest chyba dość dorosły, żeby wiedzieć, co robić... Dość tego!

Słowa Nimet pohamowały trochę Schomberga. W ponurym milczeniu wyciera chustką krew z ręki i idzie ku drzwiom

- Dokąd się pan wybiera, doktorze?

- Do Ibrahima beja.

W salonie różowej willi panuje cisza. Wahadło starego zegara z kukułką wystukuje obojętnie mijające minuty dwojgu milczącym ludziom pogrążonym w cierpieniu. Paprika siedzi na wyplatany krzeselku z opuszczoną głową i zwieszonymi rękami. Naprzeciwko niej rzucił się na fotel Schomberg. Dowiedział się już o ucieczce Ibrahima z Marewą. Pijackie podniecenie znikło bez śladu, ustępując miejsca bolesnemu odrętwieniu. Fałszywość Marewy, sztuka, z jaką umiała go oplątać, przewyższały wszystko, co kiedykolwiek zdolny był przypuszczać.

Paprika, z oczyma wbitymi w dywan, usiłowała coś mówić, przerwać to ciężkie milczenie. Ale nagle podniosła oczy i wpatrzyła się ze zdumieniem w popielatą, martwą twarz doktora Schomberga, po której płynęły łzy. Patrzyła w milczeniu na ten ogrom bólu, wstrzymując oddech. Schomberg nie był już straszny. Był teraz tylko złamanym, nieszczęśliwym człowiekiem, którego żelazną wolę skruszył okrutny los.

Wybiła dziesiąta. Wahadło starej kukułki niezmordowanie przemierzało mijający czas. A daleko, daleko, wśród ciepłej, wonnej nocy, samochód unosił ku nowej miłości dwa cienie objęte uściskiem.